

**Suzanne Carey**

# **Usidlony Anioł**

## Rozdział 1

Nareszcie miała klucz, ale wahała się, czy zrobić z niego użytek. Usiadła przy zniszczonym biurku ojca i wsłuchując się w ciszę myślała o tym, co może znaleźć.

Po pogrzebie wszyscy żałobnicy opuścili dom przy Bayou Black. Nawet ich najbliżsi sąsiedzi, Jim i Leonie Boudreaux, odeszli, kiedy Annie powtórzyła kilkakrotnie, że chętnie zostanie sama.

Moi najbliżsi sąsiedzi, poprawiła się w myślach, usiłując pogodzić się ze śmiercią ojca. Mimo to wydarzenia ostatniego tygodnia wydawały się jej nierzeczywiste. Była prawie pewna, że za chwilę krępy, małomówny Ned Duprez zacumuje swą łódkę na małej przystani. Potem, jak zwykle, ściągnie buty, postawi je przy piecu i pogwizdując, zacznie sprawdzać, co przygotowała na kolację.

W czasie posiłku nie rozmawialiby wiele. Ned powiedziałby, ile nutrii udało mu się złapać, Annie wspomniałaby o tym, co wydarzyło się w szkole parafialnej Terrebonne, gdzie pracowała jako nauczycielka muzyki. Być może ojciec wzruszyłby ramionami i zacząłby utyskiwać na koncerty naftowe, które zdominowały moczary i sprawiły, że traperom ciężko było cokolwiek zarobić.

Jednak wbrew pozorom ojciec i córka byli ze sobą bardzo zżyci, związani głębokim uczuciem, nawet jeśli Ned nie do końca rozumiał swoje dziecko.

Teraz, po raz pierwszy w życiu, Annie została sama. Była niezamężna, choć ojciec miał nadzieję, że poślubi kiedyś mężczyznę z sąsiedztwa. Stała się jedyną mieszkanką domu, w którym spędziła niemal całe życie, nie licząc kilku lat nauki na uczelni w Lafayette.

Teraz odczuwała brak ograniczeń, jakie narzucała jej obecność ojca. Nie mogła już odkładać realizacji swych marzeń pod pretekstem, że zrani ojca. Ned nie żył i fakt, że córka idzie w ślady matki, nie miał już żadnego znaczenia. Nic nie powstrzymało Annie przed spojrzeniem w przeszłość i poznaniem zawartości tajemniczej skrytki ojca.

Była niemal pewna, że wie, co znajdzie w płaskiej szufladzie biurka: pamiątki po Solange Trosclair Duprez; żonie, o której Ned nie chciał mówić, i matce, której Annie nigdy nie знаła.

Drżąc, włożyła do zamka klucz i przekręciła go. Ojciec musiał wiedzieć, że będę chciała uzyskać odpowiedź na kilka pytań, pomyślała. Właściwie nie znała całej historii. Powiedziano jej tylko, że Solange uciekła z Carteret – plantacji rodzinnej – żeby poślubić traperę bez wykształcenia. Uciekła potem po raz drugi,

żeby zrobić karierę jako piosenkarka jazzowa ,w Nowym Orleanie, i wkrótce potem zmarła.

Mimo że ojciec potępiał swą byłą żonę, matkę Annie, dziewczyna nie czuła się przez nią zdradzona, raczej dręczyła ją ciekawość. Otworzyła szufladę i jej wzrok spoczął na niewyraźnym, czarno-białym zdjęciu. Przedstawiało ono szczupłą dziewczynę o słodkiej twarzy. Oparta o drzewko cyprysowe, obejmowała pulchną dziewczynkę. Była tak delikatna, że niemal przezroczysta.

Annie nigdy przedtem nie widziała żadnego zdjęcia Solange. To moja matka i ja, pomyślała i zadrżała. Prawdopodobnie Ned zabrał je w niedzielę na spacer i zrobił im zdjęcie w pobliżu swej chaty traperskiej. W późniejszych latach Annie pokochała to miejsce.

Musiałam mieć wtedy nie więcej niż dwa lata, pomyślała, patrząc na blond loczki dziecka. Teraz jej włosy pociemniały i stały się jasnobrażowe. Na zdjęciu włosy Solange miały prawie taki sam kolor jak włosy jej córki. Pewnie rozjaśniała je, być może myśląc już o karierze, która zabrała ją z ich życia.

Drżącą ręką Annie odłożyła zdjęcie na bok. Dostrzegła połówki wycinek z gazety sprzed osiemnastu lat. Była to krótka recenzja z *New Orleans Times-Picayune*. Jej matka odniosła umiarkowany sukces, przyciągając do klubu „Czerwone Drzwi” na Bourbon Street tłum turystów i regularnych bywalców. Autor recenzji zwracał uwagę na aurę niewinności, jaka otaczała wykonawczynię, i nazywał to czymś rzadkim na miejskiej scenie.

Annie wyciągnęła z szuflady stertę nut piosenek, które były popularne czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu. Były to ulubione kawałki orkiestr swingowych. Przez krótki czas Annie śpiewała tylko takie piosenki i pokochała je.

Chwilę później wstrzymała oddech. Pod nutami leżał plik czeków bankowych, związanych wstążeczką i schowanych w podartej kopercie. Wszystkie zostały wypisane w banku w Nowym Orleanie, w czasie gdy Annie była dzieckiem, ale żaden nie został zrealizowany. Czyżby znaczyło to, że Solange przesyłała pieniądze przeznaczone na wychowanie córki? A Ned, z powodu złości i dumy, nie chciał ich wykorzystać?

Inne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy.

Czeki wystawione były przez Solange na nazwisko Neda. Ogółem suma równała się prawie tysiącowi dolarów. Dla młodej piosenkarki w tamtych czasach nie był to drobny wydatek. Widocznie Solange troszczyła się o dziecko, które swego czasu trzymała w ramionach.

Nagle Annie rozplakała się. Całe życie kochała ojca, który był powściągliwy i

opowiadał zabawne historyjki lub śpiewał ludowe pieśni tylko wtedy, gdy za dużo wypił. Jednocześnie zawsze był przy niej, gdy trzeba było zabandażować podrapane kolano i ukoić jej dziecięce lęki.

Teraz Annie czuła, że zaczyna kochać tę dziewczynę-kobietę z fotografii. Zarazem obudziło się w niej poczucie winy za brak lojalności w stosunku do ojca. Najsilniejsze było jednak pragnienie poznania prawdy o Solange i o sobie samej.

W przeszłości, tak jak Ned, radziła sobie bez niczyjej pomocy, Ani razu nie wspomniała, że pragnie zostać piosenkarką. Jej nauczyciel śpiewu na uniwersytecie nie szczędził jej pochwał, a z występów w barze Lafayette, gdzie krótko pracowała, dostała entuzjastyczne recenzje. Mimo to zdecydowała się wykorzystać swój talent w nauczaniu. Ojciec pochwalił jej wybór, uważając, że jest to tymczasowa praca, dopóki Annie nie wyjdzie za mąż i nie zostanie matką jego wnuków.

Ocierając łzy, raz jeszcze spojrzała na fotografię. Szkoda, że nie obchodzili mnie mężczyźni, których Ned lubił, pomyślała. Może wtedy wszystko byłoby łatwiejsze. Przypominam Solange bardziej, niż mu się zdawało. Chcę porwać publiczność i zaprosić ją do mego świata, sprawić, żeby ludzie poczuli muzykę tak jak ja i wyszli odmienieni i podniesieni na duchu. Jeśli mam mieć swego mężczyznę, to będzie musiał to zrozumieć, a nie próbować zamknąć mnie w klatce.

Równocześnie przykład jej matki działał jak ostrzeżenie. Jeśli odniesie sukces jako piosenkarka, nie będzie w jej życiu miejsca na rodzinę.

W szufladzie zostało niewiele rzeczy: prosta złota obrączka ojca i dwie puste koperty. Jedna była zaadresowana do ojca Annie, a na odwrocie widniał adres pensjonatu w Nowym Orleanie. Druga wysłana była do Herve'a Trosclaire'a, dziadka ze strony matki. List zwrócono bez otwierania.

Niewiele tego było. Kiedy jednak spojrzała raz jeszcze na zdjęcie i schowała pamiątki do szuflady, podjęła decyzję. Jeśli Luray Burns, nauczyciel muzyki, który odszedł na emeryturę dawno temu, zgodzi się przejąć jej obowiązki, poprosi o urlop na resztę roku szkolnego. Zamknie dom, weźmie swoje skromne oszczędności i czeki bankowe, o ile jeszcze uda się je zrealizować, i wyruszy w szeroki świat.

Po zgaszeniu światła powtórzyła w myślach plan. Najpierw pojedzie do Vacherie, odnajdzie rodzinę matki i zdobędzie niezbędne informacje. Potem ruszy do Nowego Orleanu, poszuka pracy jako piosenkarka i spróbuje odnaleźć ślady Solange.

Jednak to nie myśli o przeszłości matki czy własnej przyszłości ukołysały Annie do snu. Nagle poczuła się bardzo samotna i gdy zasnęła, w marzeniach

pojawił się ciemnowłosy, przystojny nieznajomy.

Tydzień później jechała na północ, w stronę Vacherie. W walizce miała zdjęcie matki i kilka zniszczonych zeszytów z nutami. Podwoził ją Joe Guidry swoją ciężarówką-chłodnią. Samochód ojca został kompletnie zniszczony w wypadku, który był następstwem ataku serca Neda. Annie postanowiła nie kupować nowego, gdyż chciała zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy. Realizacja czeków okazała się niełatwa. Kasjer, nie wiedząc, co powinien zrobić, zawołał kontrolera, a ten z kolei dyrektora banku. Zadzwonili do banku matki Annie w Nowym Orleanie. W końcu odliczyli pieniądze i Annie dodała tę sumę do swych skromnych oszczędności.

Będę tęsknić za Houma, bagnami, a nawet za moimi uczniami, myślała, patrząc na mijane pola i od czasu do czasu mrucząc coś w odpowiedzi na nieprzerwany monolog Joe'ego. Ale przecież nie mogę zostać tu na zawsze. Muszę dać sobie szansę.

Gdy wjeżdżali do małego miasteczka, umilkła i tylko czuła, że jej serce bije szybciej. Droga kończyła się przy rzece. Kierowca ciężarówki, stary przyjaciel jej ojca, zawrócił i skierował się na zachód, w stronę Carteret.

Annie mieszkała w odległości około czterdziestu kilometrów od miejsca, gdzie wychowała się jej matka, ale mimo to nigdy przedtem tu nie była. Być może unikała rodziny ze względu na poczucie lojalności w stosunku do ojca. Nawet teraz nie była pewna, czy miała prawo tu przyjechać. Rodzina Trosclairów nie musiała przywitać jej z radością; mogła nawet zamknąć drzwi przed nosem kogoś, kto przyzna się do pokrewieństwa z Solange Duprez.

Choć żołądek kurczył jej się ze strachu, czuła ogromną ciekawość. Pożerała wzrokiem wszystkie szczegóły wiejskiej scenerii: krowy pasące się na trawiastym zboczu nad rzeką, pola trzciny cukrowej i domy ukryte pomiędzy drzewami.

– To jest Carteret – oświadczył Joe, zatrzymując się na żwirowym podjeździe, ocienionym dębami. – Jakieś dwadzieścia siedem lat temu przyjechałem tu z Nedom po rzeczy twojej matki.

Annie wpatrywała się w dom, zdumiona, że ktoś spoza rodziny mógł zapamiętać to miejsce. Dom bardziej przypominał kreolską farmę niż willę. Szerokie schody wiodły na piętro i kończyły się przy balkonie z drewnianymi kolumnkami i niską poręczą. Spadzisty, blaszany dach był lekko zardzewiały. Annie zauważyła dwa okienka mansardy i dwa kominy. Choć budynek wymagał odnowienia, dostrzegało się w nim równowagę i wdzięk oraz komfort przestronności, odpowiedniej dla ciepłego, wilgotnego klimatu.

– Podwieźć cię do drzwi? – zapytał Joe, patrząc na nią z niepokojem. – Nie

spieszę się. Jeśli chcesz, mogę poczekać.

– Nie, dziękuję. I dzięki za podwiezienie, ale rozumiesz, prawda? Ja... nie wrócę dziś do Houma.

Wysiadła i wzięła swój bagaż. Zauważyła, że jedna z firanek w oknie uchyliła się na moment i potem opadła na swoje miejsce.

Przez chwilę obserwowała obłok kurzu, wzbity przez odjeżdżający samochód Joe'ego. Kiedy odwróciła się w stronę drzwi, otworzyły się i stanął w nich szczupły, ciemny mężczyzna w średnim wieku.

– Dzień dobry – rzucił niepewnym głosem. Annie przełknęła głośno ślinę.

– Pan Trosclair? Skinął głową.

– Jestem Annie Duprez, córka Solange.

Annie nie pamiętała, jak znalazła się w domu ze swoim kuzynem, Zenonem. Miała pewność tylko co do jednego: on był jeszcze bardziej skrępowany.

Drżącym głosem udzieliła odpowiedzi na kilka jego pytań, a potem wysłuchiwała wyjaśnień. Jej dziadek, Herve Trosclair, zmarł jakieś dziesięć lat temu.

– Teraz właścicielem domu jest mój ojciec, Alphonse, brat twojej matki – powiedział Zenon. – Mieszkam z nim ja i moja siostra Addie. Jestem kierownikiem oddziału banku w Vacherie – dodał. – Mogę cię zapytać... dlaczego przyjechałaś teraz, po tylu latach?

Annie ze zdumieniem odkryła, że nie chce opowiadać o goryczy Neda i jego tajemniczej szufladzie ani też, jak zamierzała przedtem, stawiać żądań.

– Ojciec niedawno zmarł – powiedziała. – Jadę do Nowego Orleanu. Po drodze chciałam dowiedzieć się czegoś o matce. Miałam nadzieję, że jej rodzina będzie w stanie mi w tym pomóc.

Zenon przez chwilę milczał. Patrząc na niego, Annie myślała, że musi być ostrożnym i skrytym człowiekiem.

– Nie wspominano jej imienia od dnia, w którym uciekła – przyznał w końcu. – Nie jestem pewien, czy ojciec podziękuje mi za zaproszenie cię tutaj. Mimo to,.. – zawahał się. – Rozumiem, że chcesz wiedzieć, co się stało. Osobiście nie pamiętam jej zbyt dobrze. Widzisz, byłem chłopcem, kiedy odeszła. Ale po jej śmierci właścicielka pensjonatu odesłała nam jej rzeczy. Ciągle jeszcze są na strychu. Jeśli chcesz je zabrać, nie widzę przeszkód.

Annie ruszyła za kuzynem po ciemnych, wąskich schodach. W zniszczonej, związanej sznurkiem walizce Solange było niewiele rzeczy: zdjęcie małej Annie; nuty piosenek jazzowych z czasów drugiej wojny światowej, w których się specjalizowała; parę strojów w stylu lat sześćdziesiątych, który jak na ironię znów

wracał do mody. Większość stanowiły kostiumy sceniczne: biała obcisła sukienka z dżerseju; srebrnoniebieska z jedwabiu, lśniąca mimo tylu lat przechowywania, i czarna, aksamitna, bez ramiączek.

W walizce znajdowała się jeszcze kartka od Marie Arnogne, właścicielki pensjonatu, ale poza imieniem i nazwiskiem nadawczym nie zawierała żadnych informacji.

Annie uniosła głowę.

– To wszystko? Zenon przytaknął.

– Prawie wszystko, co posiadała, poszło na zapewnienie jej opieki. Wiesz, że umarła na białaczkę.

Po policzku Annie spłynęła łza. Zenon niezgrabnym gestem podał jej chusteczkę.

– Niedługo wraca mój ojciec – powiedział. – Może byłoby lepiej, gdybym powiedział mu o twojej wizycie, kiedy już stąd odejdziesz. Mogę pomóc ci w czymś jeszcze?

– Czy znasz w Nowym Orleanie kogoś, kto może ją pamiętać? – spytała, nie odstraszona nutą niepokoju w jego głosie. – Co się stało z pensjonatem, w którym mieszkała, i klubem, gdzie śpiewała? Czy jeszcze tam są?

Zenon potrząsnął głową.

– Wątpię, czy właścicielka pensjonatu żyje – odpowiedział. – Sam pensjonat stoi tam gdzie przedtem, na Esplanade Street. Klub obecnie nazywa się „Raj Utracony”. – Uśmiechnął się lekko i rysy jego twarzy zmiękły. – Poszedłem tam na drinka, kiedy ostatnio byłem w mieście.

Czyżby ten pełen rezerwy kuzyn żywił także skrywaną namiętność do jazzu, zastanawiała się Annie. A może do klubu zaprowadziła go nostalgia i zainteresowanie historią rodziny? Teraz nie miała czasu, żeby to ustalić. Nie chciała nadużywać szczęścia ani sprawiać kłopotów Zenonowi.

– Chyba już pójdę – rzuciła wstając. Ulga na twarzy kuzyna była wyraźna.

– Pozwól, że przedtem przyniosę ci szklanek zimnej wody – nalegał. – Zanim ją wypijesz, zorganizuję ci transport do miasta.

Pół godziny później siedziała obok tęgiego, spoconego rolnika. Jej bagaż spoczywał z tyłu ciężarówki, na stosie pomidorów, ogórków i dyni, które rolnik wiozł na sprzedaż.

– Fabryki wzdłuż rzeki będą wypuszczać nieczystości – mruknął mężczyzna. – Musimy pojechać inną drogą.

Annie skinęła głową. Za oknem i tak nie było widać nic poza bagnami i

kilkoma samochodami, zaparkowanymi wzdłuż brzegu. Poza tym podziwianie widoków nie kusiło jej. Nie wiedziała, co czeka ją w Carteret, Na pewno nie gorące powitanie. Choć kuzyn był miły, dał jej jasno do zrozumienia, że jego ojciec nie chce mieć do czynienia z Solange, nawet we wspomnieniach.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że próby odkrycia przeszłości matki mogą być skazane na niepowodzenie. Mimo to nie chciała się poddać, choć wiedziała, że czekają ją długie, samotne poszukiwania.

W Nowym Orleanie znaleźli się przed kolacją. Gdy przekraczali most nad Missisipi, przed ich oczami roztoczył się widok całego miasta. Wysokie wieżowce ze stali i szkła wskazywały drogę do centrum. Annie instynktownie zerknęła w prawo, w stronę Dzielnicy Francuskiej.

– Gdzie mam panią podrzucić? – zapytał kierowca.

– Jeśli nie robi to panu różnicy, to proszę zawieźć mnie na róg ulic Bourbon i St. Peter.

Nie mogła oderwać oczu od tłumy ludzi, samochodów i ruchu największego miasta, jakie widziała w życiu.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Mogę to zrobić, ale wieczorem to miejsce wygląda jak dom wariatów.

Wąskie uliczki Dzielnicy Francuskiej zatłoczone były samochodami. Uwagę zwracały małe sklepiki i restauracje oraz żelazne balkoniki. Ludzie w różnym wieku i różnego pochodzenia wędrowali po Bourbon Street, zamkniętej dla ruchu kołowego. Chłopcy stepowali na trotuarze do taktu muzyki płynącej z pobliskiego klubu. Przechodnie rzucali im drobne monety. Mężczyzna w dorożce proponował przejażdżkę.

Annie wysiadła i wzięła swoje dwie walizki. Prawie zapomniała podziękować kierowcy, patrząc wokół siebie szeroko otwartymi oczami. W następnej chwili wskoczyła na krawężnik, aby uniknąć potrącenia przez mały samochód.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się klub, którego szukała: kiedyś „Czerwone Drzwi”, obecnie „Raj Utracony”. Ruszyła w stronę drzwi i zobaczyła, że muzycy skończyli grać i odpoczywali. Tłum, zebrany przy drzwiach, przerzedził się. Ostrożnie, nie chcąc zaczepić o coś walizkami, Annie podeszła bliżej i zajrzała do środka.

Moja matka tu śpiewała, pomyślała, zerkając na zatłoczoną scenę, marmurowe stoliki i drewniane krzesła. Nad mahoniowym barem wisiał obraz olejny, przedstawiający pogrzeb muzyka jazzowego. Na tyłach klubu znajdowało się niewielkie podwórko z fontanną.



Zastanawiała się, jak bardzo zmienił się klub w ciągu tych minionych lat. Raz jeszcze spojrzała na scenę. Perkusista zatrzymał się na chwilę, aby zapalić papierosa i porozmawiać z gitarzystą basowym. Annie nagle poczuła dziwny dreszcz na jego widok, choć była pewna, że nigdy nie spotkała tego człowieka.

Nie był przystojny w klasyczny sposób, miał zbyt nieregularne rysy twarzy. Dostrzegła świetnie ostrzyżone ciemne włosy i ruchliwe brwi. Zmarszczki wokół ust sugerowały, że mężczyzna uśmiecha się często, ale nie ma to nic wspólnego ze zwykłą kokieterią.

Musiał być po trzydziestce. Był dobrze zbudowany, ale średniego wzrostu, może wyższy od Annie o jakieś dziesięć centymetrów. Nie dbał o swój wygląd, sądząc po jego niemodnych spodniach i koszuli z podwiniętymi rękawami.

Mimo to było w nim coś niezwykłego, co wskazywało, że zawsze lubi być w centrum wydarzeń.

Na pewno jest liderem kwintetu i doskonałym muzykiem, odgadła Annie. Czuła, że jest lubiany i podziwiany przez publiczność i doskonale się czuje w wymagającym perfekcjonizmu świecie muzyków jazzowych. Uświadomiła sobie, że o takim mężczyźnie śniła w noc po pogrzebie jej ojca.

Opamiętała się, widząc, że ciemnowłosy perkusista zauważył jej spojrzenie.

– Zaczynamy za kilka minut, skarbie – zwrócił się do niej z uśmiechem. – Wejdz i zajmij miejsce.

Annie zaczerwieniła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Pewność siebie i poczucie humoru muzyka wcale nie zmniejszyły jego atrakcyjności.

Taki mężczyzna nie zamknąłby cię w klatce, powiedział Annie jakiś głos wewnętrzny. Twoja matka z pewnością takich znała. Nawet gdybyś chciała, nie mogłabyś go usidlić.

– Nie zwracaj uwagi na Jake'a – odezwał się ktoś stojący obok. – Lubi żartować z turystów.

Obróciła się i dostrzegła starszego mężczyznę, który w kwintecie grał na fortepianie. Uśmiechał się do niej, paląc papierosa. Ona też się uśmiechnęła.

– Nie jestem turystką – odpowiedziała. – Po prostu... te walizki...

Skinął głową.

– W takim razie szukasz pracy? – zapytał.

– Tak, właściwie tak. Przyszłam tutaj, bo moja matka kiedyś tu śpiewała.

Mężczyzna uniósł jedną brew.

– Znałem ją?. Annie z nadzieją podała nazwisko matki, a potem wymieniła swoje.

Muzyk, który przedstawił się jako Oscar Washington, potrząsnął głową.

– Przykro mi – powiedział. – Nie pamiętam jej. Tak się składa, że poszukujemy piosenkarki. Jeśli jesteś tym zainteresowana, lepiej zrób, jak ci radził Jake. To właśnie z nim będziesz musiała porozmawiać.

## Rozdział 2

Annie rzuciła szybkie spojrzenie perkusiście, który zgasił papierosa i odrzucił go na bok. Muszę z nim porozmawiać, jeśli chcę śpiewać na scenie, na której występowała moja matka, pomyślała. Ta myśl była kusząca, choć sama obecność tego mężczyzny sprawiała, że Annie czuła się dziwnie bezbronna. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten człowiek wie, czego chce, i zwykle to dostaje. Podziwiała tę cechę, ale zarazem bała się ludzi, którzy ją posiadali.

Udając opanowanie, zwróciła się do Oscara:

– Z nim? – zapytała bezceremonialnie. – Myślałam, że to jeden z muzyków.

Pianista zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak podsumował Jake'a – wyznał. – Od czasu do czasu gra z nami w zespole, ale prawdę mówiąc, jest współwłaścicielem tego lokalu... razem z Harrym Wilsonem, który jest dziennikarzem.

Annie otworzyła szeroko oczy.

– Musi być niezłym perkusistą, jeśli stać go na własny klub – zauważyła.

Oscar przytaknął.

– I jest, skarbie. Pochodzi też z bogatej rodziny, a zresztą ma inną pracę... rysuje wymyślne projekty domów.

– Czyżby był architektem?

– Zgadza się. Wchodzisz na scenę? Za chwilę zaczynamy następną część występu.

Nie mogła odmówić. W tej chwili nie pragnęła niczego więcej, tylko usiąść przy stoliku i wypić coś, chłonąc atmosferę miejsca, gdzie dawno temu występowała jej matka.

Chcesz też usłyszeć Jake'a, dodała. Przyznaj to. Wzbudził twoje zainteresowanie.

– Dobrze – odpowiedziała, zdobywając pochwalny uśmiech Oscara. – Jeśli naprawdę szukacie wokalistki, to chcę porozmawiać z twoim przyjacielem. Mógłbyś to zorganizować?

Pianista wyciągnął rękę po jej walizki.

– Przyślę go do ciebie po następnej części koncertu – obiecał. – Powiedz kelnerce, że jesteś moją znajomą, to nie będziesz musiała zapłacić czterech i pół dolara za szklanekę wody sodowej.

Członkowie kwintetu wracali na scenę. Annie usiadła przy stoliku i zamówiła

gin z tonikiem.

Jake z całą pewnością był liderem, ale pozwalał innym demonstrować ich talent. Mógł być dobry, a nawet więcej niż dobry, a mimo to dawał kolegom dokładnie taki akompaniament, jakiego potrzebowali.

Chciałabym zobaczyć, jaki jest w solówce, pomyślała, widząc, jak Jake angażuje się w muzykę innych i jak go to bawi. Założę się, że jest doskonały.

Jake był w dobrym towarzystwie. Inni członkowie zespołu też byli utalentowani, nawet biorąc pod uwagę fakt, że w tym mieście jazz był bardzo popularny. Szczupły Murzyn, grający na trąbce, prezentował ogień i zarazem rezerwę. Duże, kościste dłonie Oscara przesuwają się po klawiszach fortepianu lekko i z łatwością, jakby robił to od setek lat. Saksofonista, wysoki mężczyzna w średnim wieku, grał z werwą i stylem. Rozczochrany chłopak przesunął palce po strunach zniszczonej gitary z głębokim uczuciem.

Kwintet grał najpopularniejsze przeboje z lat trzydziestych i czterdziestych. Grają muzykę, którą kocham, pomyślała Annie, czując podniecenie. Jestem odpowiednią osobą, żeby z nimi śpiewać. Gdyby tylko udało mi się ich o tym przekonać.

Po chwili rozległy się grzmiące brawa. Grupa zaczęła grać ulubioną melodię dziewczyny – wolną, romantyczną balladę, którą wyszukała w nutach w walizce Solange. Muzyka była łagodna i sentymentalna. Annie po cichu nuciła słowa. Wyobrażała sobie siebie na scenie, gdzie tuląc mikrofon do piersi wzbogaciłaby ten utwór wokalizami.

Perkusista przyglądał się jej, mrużąc oczy. Zauważyła jego spojrzenie i odniosła wrażenie, że ona i Jake rozumieją się bez słów. Nie odwracając wzroku, uśmiechnął się. Nagle, bez powodu, Annie pojęła, że celowo wybrał tę melodię jako kontynuację ich krótkiej rozmowy.

Otrząsnęła się. Oczywiście była to gra, prawdopodobnie dalszy ciąg strojenia sobie żartów z turystów, jak to określił Oscar. Mimo to jej wargi rozchyliły się, a Jake raz jeszcze uśmiechnął się tym pewnym siebie, oszałamiającym uśmiechem, jakby chciał potwierdzić, że dobrze go zrozumiała.

Annie nie odwróciła wzroku, choć była pewna, że się czerwieni. Kiedy Jake zakończył utwór partią solową, klaskała mocniej niż inni.

Pod koniec koncertu dostrzegła, że do perkusisty podszedł Oscar i mówiąc coś, skinął głową w jej kierunku. Annie zamówiła następnego drinka, na którego nie miała ochoty. Wiedziała, że jeśli Jake podejdzie do jej stolika, będzie musiała coś zrobić z rękami.

W chwilę później już podchodził. Wyglądał na wyższego niż na scenie. Uśmiechnął się lekko i zapalił papierosa. Był z nim Oscar. Annie zawsze umiała zachować dystans w kontaktach z mężczyznami, ale nagle utraciła tę zdolność.

– Annie Duprez, Jake St. Arnold – przedstawił ich sobie bezceremonialnie pianista.

– Cześć – powiedziała Annie.

– Miło mi. – Głos Jake'a był głęboki i lekko chropawy. Ku jej konsternacji, ujął jej dłoń i patrzył w oczy z zaciekawieniem, ale zarazem dwuznacznie. Nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć.

Widząc go na scenie zastanawiała się, jakiego koloru są jego oczy, i uznała, że orzechowe. Teraz widziała, że się myliła. Ukryte pod ciemnymi rzęsami tęczówki były zdecydowanie niebieskie. Jake patrzył w taki sposób, jakby nie czuł potrzeby ukrywania tego, co myśli. Z bliska był jeszcze przystojniejszy i emanował z niego silny magnetyzm, który trudno było ignorować. Otaczała go specyficzna aura, rozpoznana przez Annie jako dziedzictwo francusko-kreolskie. Pasowało to do jego nazwiska. W Jake'u wyczuwało się pewność siebie i pobłażliwą, choć nieco pesymistyczną, postawę w stosunku do świata.

– Oscar twierdzi, że twoja matka śpiewała kiedyś w tym klubie – powiedział, puszczając jej rękę.

– Och – zaczęła. – Tak. Nazywała się Solange Duprez. Mam tu wycinek z gazety...

Wyciągnęła z torebki pożółkły artykuł. Jake przeczytał go z zainteresowaniem.

– Masz rację – potwierdził, zwracając jej wycinek.

Jedna z jego opalonych rąk musnęła jej ramię. – To miejsce nazywało się kiedyś „Czerwone Drzwi”, choć od tamtego czasu zmieniało nazwę wiele razy. Imię twojej matki wydaje mi się znajome, ale jakoś nie mogę sobie jej przypomnieć. Może Harry coś o niej będzie wiedział. Mówię o Harrym Wilsonie, moim współniku. Jest muzykiem i krytykiem teatralnym, pracuje w *Timesie*.

– Wiem, Oscar mi o tym powiedział. Byłabym wdzięczna, gdybyś mógł go o nią zapytać.

– Z przyjemnością, ale jeśli chcesz, możesz to zrobić sama. Przyjdzie tu jutro po południu. Robimy przesłuchania piosenkarzy.

– Mówiłem Annie o tym – wtrącił się Oscar, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Ona też jest piosenkarką – wyjaśnił.

Unosząc brwi, Jake spojrzał na jej walizki.

– Szukasz pracy? – zapytał. – Wydaje mi się, że w tej chwili najbardziej

potrzebujesz miejsca do spania.

Z całą pewnością nie chciał, by jego słowa zabrzmiały dwuznacznie.

– Niema problemu – odpowiedziała. – Chcę wynająć pokój.

Rozbawienie nie zniknęło z jego twarzy.

– Masz jakieś doświadczenie w śpiewaniu?

– Niewielkie... Uczyłam muzyki w szkole. Ale śpiewałam z zespołem jazzowym na uniwersytecie. Daj mi szansę, a zobaczysz, że cię nie rozczaruję.

Mówiąc to uświadomiła sobie, że z pewnością słyszał takie słowa setki razy. A jednak Jake nie dał niczego po sobie poznać.

– Jasne, dlaczego nie? Możemy cię przesłuchać – powiedział, wzruszając ramionami. – Jeśli jesteś dobra, oboje na tym zyskamy. Muszę jednak ostrzec cię. Ta praca nie jest dobrze płatna i zajmuje trzy noce w tygodniu. Szukamy kogoś, kto czuje swing i dla kogo nie jest to zainteresowanie powierzchowne. Nie chcemy interpretacji rockowych.

Powstrzymała się przed wyznaniem, że specjalizuje się w swingu. Jutro sam się o tym przekona, pomyślała.

– Rozumiem – powiedziała.

– A więc o trzeciej. Ubierz się odpowiednio. Porozmawiali jeszcze przez chwilę, choć Annie czuła się onieśmielona. Potem Oscar i Jake musieli wracać na scenę. Annie została w klubie nieco dłużej. Wpatrywała się w perkusistę, z trudem kryjąc swą fascynację.

Chciała zostać do końca koncertu, ale robiło się późno, a ona musiała znaleźć jakiś pokój, przynajmniej na tę noc. Modląc się, aby Jake nie zauważył jej wyjścia, wstała, wzięła walizki i ruszyła do drzwi.

Jake jednak to zauważył i tak jak się tego obawiała, skorzystał z okazji.

– Annie, nie zapomnij! – zawołał, nie przerywając gry ani na moment. – Mamy randkę!

Wyszędłszy na zewnątrz, Annie instynktownie ruszyła w kierunku pensjonatu, gdzie kiedyś mieszkała jej matka. Esplanade Street znajdowała się dość daleko. Droga wiodła przez cokolwiek zniszczoną dzielnicę willową. Kiedy w końcu Annie znalazła budynek i wspięła się po stromych schodach, jej walizki ciążyły jak kamienie. Drzwi otworzyła pulchna, siwowłosa kobieta.

– Pani Arnogne? – zapytała Annie z nadzieją w głosie.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Przykro mi, kochanie – stwierdziła. W jej głosie pobrzmiwał lekki brytyjski akcent. – Nikt taki tu nie mieszka. Jestem Sabrina Johnson i kieruję tym domem.

Może chce pani wejść i przejrzeć książkę telefoniczną? Osoba, której pani szuka, może mieszkać w sąsiedztwie.

Annie ukryła rozczarowanie. Na zadawanie pytań o poprzednią właścicielkę pensjonatu przyjdzie czas później.

– Właściwie szukam pokoju – powiedziała. – Słyszałam od kogoś, że powinnam poszukać pani Arnogne. Po prostu potrzebuję noclegu.

Sabrina Johnson przyjrzała się jej. Chyba ocena wypadła pozytywnie, gdyż na okrągłej twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

– Mamy wolne miejsce – oświadczyła, wycierając ręce w fartuch. – Pokój z lodówką, kuchenką i łazienką. Kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów, płatne tygodniowo.

– W porządku. – Annie, zmęczona wydarzeniami dnia, nie miała ochoty na targowanie się.

Kobieta spojrzała na nią ze współczuciem.

– Pewnie chcesz zobaczyć ten pokój, zanim się zdecydujesz, kochanie – powiedziała, kierując się w stronę schodów.

Pokój znajdował się na trzecim piętrze i wyglądał mniej więcej tak, jak Annie się spodziewała. Umeblowanie stanowiły używane sprzęty, pochodzące z różnych miejsc. Uwagę zwracało żelazne łóżko z wygniecionym materacem. Okno znajdowało się tuż nad sufitem. Niżej widać było Bourbon Street i wieżowce centrum w oddali.

– Wezmę go – oświadczyła Annie, stawiając walizki na podłodze i sięgając po portmonetkę.

Po wyjściu kobiety otworzyła okno i wychyliła się, nie mogąc uwierzyć, że znalazła się w mieście, gdzie jej matka próbowała rozwinąć skrzydła. Może nawet spała w tym samym pokoju, pomyślała Annie.

Czy ona też spotkała kogoś takiego jak Jake St. Arnold? Czy ciemnowłosa mężczyzna o roześmianych, niebezpiecznych oczach również nawiedzał ją w snach?

Westchnąwszy, odeszła od okna, zdjęła bluzkę i spódnicę i wyciągnęła się na łóżku. Po chwili spała głęboko.

Przyszedł ranek, a wraz z nim postanowienie, że postara się o pracę w „Raju Utraconym”. Jednym ze sposobów zapewniających sukces był odpowiedni wygląd, a więc Annie zdecydowała się rozjaśnić włosy. Wyciągnęła z walizki potrzebne rzeczy i ruszyła do łazienki.

Długa procedura, którą znała z niezliczonych eksperymentów na włosach

koleżanek z uniwersytetu, przyniosła jej dziwną satysfakcję. Jaśniejsze włosy sprawiają, że będzie wyglądać bardziej profesjonalnie. Miała też nadzieję, że zrobi lepsze wrażenie na przyszłym pracodawcy jako blondynka.

Po czterdziestu pięciu minutach stanęła przed popękany, zamglonym lustrem, przyglądając się efektom swoich poczynań. Długie do ramion włosy, które zwykle zaczesywała do góry, teraz tworzyły złocistą aureolę wokół jej twarzy. Aby podkreślić zmianę, zrobiła makijaż ostrzejszy niż ten, który nosiła jako nauczycielka w szkole parafialnej.

Efekt był uderzający. Jeszcze bardziej przypominam Solange, pomyślała. Nie potrzebowała zdjęcia, żeby to stwierdzić. Po chwili zauważyła coś jeszcze.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze pomyślała, że jest prawie piękna.

Pozostał jeden problem: jak ubrać się na spotkanie z St. Arnoldem i jego partnerem. Jake kazał jej ubrać się odpowiednio, ale Annie nie była pewna, czy ma ze sobą coś, co byłoby strojem odpowiednim na scenę klubu jazzowego. Przez wiele lat jej garderoba, podobnie jak innych nauczycielek, składała się z praktycznych kostiumów. Kilka posiadanych przez nią sukni wieczorowych miało krój zbyt prosty i zwyczajny. Wyglądałyby w nich nienaturalnie.

Nie mam pojęcia, gdzie w tym mieście robi się zakupy, pomyślała, potrząsając głową. Potem wpadła na pewien pomysł.

Sama myśl o włożeniu na siebie starej sukni, która niemal dwadzieścia lat przeleżała na strychu, była szalona, ale pomysł był mimo wszystko godny rozważenia.

Z lekkim drżeniem przejrzała zawartość walizki matki. Solange nie miała ubrań nadających się do codziennego użytku, ale jedna suknia przyciągała uwagę. Srebrzystoszara, ze sztucznego jedwabiu, bez ramiączek i pikowana do talii. Całości dopełniał zakiet wykończony takim samym pikowanym materiałem. Był szyty na miarę i bardzo obcisły.

Ponieważ Annie schudła w ciągu tygodnia po śmierci ojca, sukienka pasowała na nią i bez trudu udało jej się zapiąć zamek.

Dziwne, lecz zdawało się, że sukienka była szyta dla niej. Nawet kolor pasował do jej oczu i do szarych szpilek, które przywiozła z domu i w których jej nogi wyglądały rewelacyjnie. Będę musiała upiąć włosy, zdecydowała. Rozpuszczone sprawiają, że wyglądam za młodo.

Idąc po południu do klubu, czuła narastające zdenerwowanie. Jej uczesanie przypominało fryzurę z lat czterdziestych, co dziwnie pasowało do stroju z lat sześćdziesiątych! Tego dnia klub był oficjalnie zamknięty, ale jedno skrzydło



szklanych, obramowanych drewnem drzwi było uchylone.

Pchnęła je i weszła. Jake'a nie było w zasięgu wzroku. Jakaś kobieta myła podłogę, a przy stoliku siedział mężczyzna o blond włosach i przeglądał książki.

– Cześć – rzuciła nieśmiało. – Jestem Annie Duprez...

Blondyn uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Pewnie jesteś nową piosenkarką – powiedział wstając i wyciągając dłoń. – Nazywam się Harry Wilson. Jake jest na górze, a Oscar wyszedł na papierosa. Przepraszam cię na chwilę, zaraz ich zawołam.

Uścisk jego dłoni był przyjazny i mocny. Annie natychmiast poczuła do niego sympatię, być może dlatego, że nie próbował się do niej zalecać.

Po chwili Harry wrócił. Za nim szedł Oscar.

– Jake rozmawia przez telefon – powiedział Harry. – Zaraz do nas dołączy.

Wygasił główne światła i włączył kilka punktowych reflektorów, potem usiadł przy stoliku, a Oscar zajął miejsce przy fortepianie.

– Możemy zaczynać w każdej chwili – powiedział do Annie.

Ostrożnie weszła na scenę i sprawdziła w mikrofon. Był włączony.

– Co chcesz zaśpiewać? – zapytał Oscar ojcowskim, uspokajającym tonem.

Podąła tytuł wolnej, zmysłowej piosenki, zgadując, że będzie wiedział, jak zagrać i że nie trzeba podawać mu tonacji.

– Mniej więcej tak? – zapytał, podając jej kilka akordów.

Annie próbowała pokonać treść, gdy Oscar grał przygrywkę. Muzyka jak zwykle uspokajała ją.

Zaczęła śpiewać spontanicznie. Oscar natychmiast włączył się z odpowiednim akompaniamentem. Śpiewając refren Annie czuła, że jej głos brzmi lepiej, niż miała prawo oczekiwać. W połowie piosenki jej nadzieje i samotność w nowym życiu, jakie wybrała, znalazły doskonały wyraz.

Kątem oka zauważyła wejście Jake'a. Nie chcąc wypaść z rytmu, jeszcze bardziej zatraciła się w muzyce. Nie miała pełnej świadomości tego, jak dobrze to brzmiało, jak jej głos wydawał się jedwabisty lub chropawy w zależności od wysokości tonów.

Skończyła i opuściła ręce. W pomieszczeniu panowała cisza. Czyżby im się nie podobało, zastanawiała się? Potem Harry zaczął bić brawo. Dołączył do niego akompaniator.

Tylko Jake wstrzymywał się z oceną. Podeszedł bliżej i zatrzymał się tuż przed sceną. Miał na sobie białe bawełniane szorty, odsłaniające silne nogi, i beżową bawełnianą koszulę, rozpiętą przy szyi. Patrząc na niego, Annie czuła, że ma

kolana jak z waty.

– Bardzo ładnie, aniołku – powiedział Jake, przeciągając sylaby. – Włożyłaś w tę piosenkę cały swój talent i uczucie, na jakie zasługuje. Ale wykonanie niezbyt pasowało do muzyki.

– Nie pasowało? – Nieoczekiwana krytyka wytrąciła ją z równowagi. – Co masz na myśli?

– Jake... – Harry wstał od stolika i był gotów bronić dziewczyny. Jednak Annie chciała rozegrać to sama.

– Nie rozumiem – powtórzyła spokojnie. – Wyjaśnij, proszę.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Piosenka była wspaniała, ale wykonanie... pruderyjne, jakbyś pozwoliła płynąć tylko muzyce. Przykro mi, ale takie miałem wrażenie. Może to wina zakietu... i twoich włosów...

Zanim Annie zdążyła zaprotestować, już stał przy niej na scenie. Zdjął jej zakiet i wyciągnął spinki z włosów. Przez przypadek musnął dłonią policzek dziewczyny i Annie poczuła dreszcz.

– Tak już lepiej – powiedział cicho, patrząc, jak jej włosy opadają na ramiona.

Jego usta znajdowały się tak blisko, że Annie miała wrażenie, iż czuje jego oddech. Ciekawe, jak by to było, gdyby przycisnął swoje wargi do moich, pomyślała zmieszana.

Jake cofnął się o krok i obdarzył ją krzywym uśmiechem.

– Nawet wyraz twojej twarzy jest teraz odpowiedni – stwierdził z satysfakcją. – Spróbuj jeszcze raz.

## Rozdział 3

Oscar już zaczął grać przygrywkę. Jake zajął miejsce tuż przed sceną.

– Zaczynaj – rzucił zachęcająco. – Zaśpiewaj tylko dla mnie.

Annie czuła wstyd na myśl o tym, iż jej wykonanie zostało ocenione jako zbyt pruderyjne. Musiała jednak przyznać, że w pewnym sensie Jake miał rację. Od chwili gdy przekroczyła próg klubu, zachowywała się ostrożnie, jakby się czegoś bała.

Może to wina spotkania twarzą w twarz z moim snem i lęk, czy okażę się wystarczająco dobra, pomyślała. A może to wina Jake'a. Lepiej uważać. Mężczyzna taki jak on może zniszczyć wszystkie moje plany.

Mimo to, jeśli chce usłyszeć naprawdę zmysłowe wykonanie, ona mu to umożliwi. Przecież to on wywołał ten nastrój. Kłębiły się w niej emocje wywołane zwykłym muśnięciem policzka i bliskością tego mężczyzny. Była też trochę zła na siebie za taką reakcję. Pokażę mu, kto jest pruderyjny, przyrzekła sobie. Nie chciała, by myślał o niej jak o osobie niedoświadczonej i nieśmiałej. Nagle zorientowała się, że Oscar po raz kolejny zaczął grać przygrywkę.

– Annie? – odezwał się Jake.

– W porządku – odpowiedziała.

Pokażę, co czuję, postanowiła, wchodząc w pierwsze takty piosenki. Dostanę tę pracę, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Po tej decyzji coś w niej pękło. Pograżając się w zmysłowości, o której posiadanie nawet siebie nie podejrzewała, zaczęła lament kobiety tak oszalałej na punkcie swego mężczyzny, że zgodziłaby się być z nim na każdych warunkach. Annie miała niezłe ciało; pełen podziwu wzrok Jake'a potwierdzał to. Teraz używała go z premedytacją, przerzucała włosy z ramienia na ramię i czarowała spojrzeniem swych dużych szarych oczu. Nawet jej biodra, opięte wąską spódniczką, kołysały się zmysłowo w rytm melodii.

Wyobraziła sobie siebie w ramionach Jake'a, z palcami wplątanymi w jego włosy, gdy przyciąga go, aby nakrył jej wargi swoimi.

Jednak piosenka była bluesem. Annie musiała wyobrazić sobie, jak nagle Jake odsuwa ją, musiała przekazać publiczności ból odrzucenia. Znowu nikt się nie odezwał, gdy skończyła śpiewać. To było dobre, pomyślała Annie, wpatrując się w twarze słuchaczy. Czuję to.

Wreszcie Jake przerwał ciszę. Jego głos był poważny i pełen szacunku, choć w

oczach lśniły iskielki rozbawienia. Nie pochwalił jej.

– Teraz coś na bis – zażądał. – Zaskocz mnie. Później nie pamiętała, dlaczego wybrała piosenkę ludową, którą często śpiewał lub grał na organkach jej ojciec. Może chciała wypełnić polecenie Jake'a i próbowała go zaskoczyć, wiedząc, że nikt ze słuchaczy nie spodziewa się, iż po zmysłowym utworze bluesowym usłyszą piosenkę tak prostą, jaką mogłoby zaśpiewać dziecko.

– Możesz tego nie znać – ostrzegła, nie patrząc na Jake'a i zwracając się w stronę pianisty. – Postaraj się podążać za mną.

Na twarzy Oscara odbiło się niedowierzanie. Czy mógł istnieć utwór, którego nie znał? Annie wcale nie była zdziwiona, gdy podchwycił melodię na tyle, aby jej akompaniować. Śpiewała liryczną balladę z całą niewinnością.

Po pierwszych kilku taktach przerwała na moment i wznowiła śpiew, nadając piosence jazzową interpretację.

– To jest to! – wykrzyknął Oscar, improwizując z zapalem.

Radość przepełniła Annie. Czuła, że w pełni panuje nad swoim głosem. Nie zadrzał nawet na najwyższych tonach, nie załamał się na najniższych. Podobnie jak Jake poprzedniego dnia, cała zatraciła się w muzyce.

Gdy skończyła, Harry potrząsnął głową.

– To niesamowite – stwierdził, patrząc na swego partnera, – Jeśli chodzi o mnie, jest przyjęta.

Oscar uśmiechnął się radośnie, jednocześnie uciszając ośmio – czy dziewięcioletniego chłopca, który wszedł do klubu i stanął przy pianinie. Annie zerknęła na Jake'a. Patrzył na nią w zamyśleniu.

– Zgadzam się – rzucił w końcu, wstając. – Może napijemy się, żeby to uczcić? Albo pójdziemy do biura, żeby omówić warunki. Zakładam, że przyjmujesz tę pracę.

Harry podszedł do niej i uściskał jej rękę.

– Mam nadzieję, że ją przyjmie – zaśmiał się. – Nasze szczęście, że zjawiała się w tym klubie.

Jake uśmiechnął się.

– Ta uwaga będzie nas drogo kosztować, wiesz o tym. Tak jak powiedziałem, aniołku: praca jest twoja, jeśli chcesz. Na razie będzie to okres próbny; potem, jeśli obie strony będą usatysfakcjonowane, zatrudnimy cię na stałe. Co na to powiesz?

Po raz drugi nazwał ją aniołkiem. Prawdopodobnie zwracał się w ten sposób do każdej dziewczyny, ale Annie spodobało się to określenie. Zastanawiała się też, co miał na myśli, mówiąc o obopólnej satysfakcji.

Jake czekał na odpowiedź. Choć nie wspomniał o wynagrodzeniu, Annie nie musiała się zastanawiać. Wiedziała, że przyjmie tę pracę na każdych warunkach.

– Tak – odpowiedziała, po raz pierwszy obdarzając go nieśmiałym uśmiechem.

— Chcę dla ciebie pracować.

Coś zabłysło w jego oczach, ale powiedział tylko:

– Dobrze.

Zarzucił jej żakiet na ramiona i zwrócił się do Oscara:

– Przyłącz się do nas. Drinki na koszt firmy. Widać było, że pianista zadowolony jest z rezultatu przesłuchania, ale mimo to potrząsnął głową.

– Chciałbym, ale obiecałem wnukowi, że po południu nauczę go grać w bilard. Masz niezły głos, Annie. Jestem dumny, że mogę z tobą pracować.

– A ja jestem dumna z pracy z tobą. – Ucisnęła jego kościstą dłoń. – Mam nadzieję, że nic zawiodę twoich oczekiwań.

Oscar uśmiechnął się szerzej.

– Och, na pewno. Już Jake tego dopilnuje. – Objąwszy chłopca, wyszedł.

– Wychowuje wnuka – wyjaśnił Jake. – I robi to bardzo dobrze.

W tej chwili przy barze zadzwonił telefon. Harry poszedł odebrać. Annie popatrzyła na Oscara i jego wnuka.

– Jestem tego pewna – zauważyła. – Wiesz, że mam dobre zdanie o tym człowieku.

Usiadła na wysokim stołku barowym i patrzyła, jak Jake przygotowuje gin z tonikiem dla niej i szkocką dla siebie i Harry'ego.

– Co zrobiłaś z włosami? – zapytał nagle, podając jej szklanekę. – I ta sukienka... wygląda jak ze starego filmu.

Oto nagroda za moje trudy, pomyślała.

– Sukienka należała do mojej matki – wyznała. – Chyba nie powinnam jej wkładać, ale naprawdę nie miałam nic innego. I zdawało mi się, że moje włosy są... zbyt ciemne, żeby zrobić odpowiednie wrażenie.

Niespodziewanie Jake uniósł dłonią jej podbródek.

– Nie przepraszaj – powiedział. – Podoba mi się sukienka, a twoje włosy przypominają dzisiaj światło słoneczne. Zresztą nawet kiedy weszłaś tu wczoraj, z walizkami, zmęczona i zakurzona, zrobiłaś lepsze wrażenie, niż ci się wydaje.

Znów się zarumieniła. Wrócił Harry i usiadł przy niej. Nie miał pojęcia, że coś przerwał.

– Chciałbym wnieść toast – powiedział, unosząc szklanekę. – Na cześć panny Annie Duprez. Oby nasz związek był długi i szczęśliwy.

– Słuchaj, słuchaj. – Z poważną miną Jake uniósł swoją szklanę. Choć cofnął się nieco, gdy podszedł Harry, Annie ciągle czuła na sobie jego palący wzrok.

Nie ma wątpliwości, że to człowiek bardzo niebezpieczny, myślała. Powinnam się go wystrzegać.

– Gdzie nauczyłaś się tak śpiewać? – zapytał przyjaźnie Harry.

Uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że to komplement, bo przecież przyjąłeś mnie do pracy. Chyba większości piosenek nauczyłam się ze starych płyt, kiedy byłam na uniwersytecie. Mój chłopiec pracował jako disc jockey w nocnym programie jazzowym. Dzięki niemu poznałam swing, chociaż nie było to nic nowego... to tak jakbym odkryła coś, co zawsze było we mnie.

– Twoje wykonanie było rewelacyjne.

– Dziękuję.

Jake wpatrywał się w nią z napięciem.

– Wiem, co masz na myśli – stwierdził, odstawiając szklanę. – Odnalezienie swojego stylu. Ale jedna z twoich piosenek ma niewiele wspólnego z jazzem.

Zrozumiała, o czym mówi.

– Tę francuską piosenkę słyszałam od ojca.

– To styl cajuński, prawda? Annie skinęła głową.

– Myślę, że ojciec śpiewał ją, gdyż podsumowywała jego życie. – Powiedziawszy to, zastanowiła się, dlaczego zwierza się nieznajomemu.

Jake rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

– Twoja matka zostawiła go?

A wiec rozumiał dialekt cajuński.

– Tak, dla kariery... kiedy byłam mała. Właściwie nie pamiętam jej.

Jake obrócił się do Harry'ego.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że Annie próbuje dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o swojej matce, Solange Duprez, która śpiewała w tym klubie na początku lat sześćdziesiątych.

– A niech to! – Harry zmarszczył brwi. – Obawiam się, że nazwisko niewiele mi mówi, choć brzmi znajomo. Co śpiewała?

Annie udało się udzielić informacji opanowanym głosem.

– Zawsze chciałam śpiewać tak jak ona – zakończyła. – Po śmierci ojca nie ma już przeszkód, ale to tylko jeden z powodów, dla których przyjechałam do Nowego Orleanu. Chciałam odnaleźć kogoś, kto znał Solange i dowiedzieć się, jaka była naprawdę. Można powiedzieć, że chciałam zawrzeć z nią pokój.

Jake z powagą skinął głową i na moment jego twarz straciła ironiczny wyraz. Jego partner przyglądał się dziewczynie z zainteresowaniem.

– Co za historia! Można będzie opisać ją w gazecie, kiedy już zadomowisz się wmieście. Artykuł o tobie nie może, oczywiście, ukazać się w *Timesie*, bo złośliwi ludzie powiedzą, że korzystam z okazji, żeby zareklamować swój lokal. Ale są przecież inne gazety, inni dziennikarze.

– Zabraknie połowy historii, jeśli nie będzie informacji o Solange – stwierdziła Annie, próbując stłumić narastającą nadzieję.

– A ogłoszenie? – rzucił w zamyśleniu Jake. – Informacja o twoich poszukiwaniach może sprawić, że ktoś się odezwie.

– Słusznie. – Harry opróżnił szklankę. – Ale nie możemy go zamieścić, bo byłby to precedens. Nie masz pojęcia, ilu ludzi w tym mieście szuka zaginionych krewnych.

– A więc to nie ma sensu, prawda? – Annie spojrzała na Harry'ego i przeniosła wzrok na Jake'a. – Ja sama niewiele mogę zdziałać.

– Chyba jesteś w błędzie. W archiwum, w bibliotece czasopism, może się coś znaleźć. Są tam artykuły ze wszystkich gazet, posegregowane według nazwisk osób, których dotyczą, nawet sprzed kilkudziesięciu lat. Mogę je przejrzeć.

– Byłabym ci wdzięczna. Po chwili ciszy Jake dodał:

– Annie, prawie zapomniałem. Zeszłej nocy przypomniałem sobie, gdzie widziałem nazwisko twojej matki – na okładce starej płyty, którą kupiłem na pchlim targu ubiegłej jesieni. To jest singel, i w dodatku zniszczony, ale głos słyhać wyraźnie. Prawdę mówiąc, przypomina twój głos...

Zawahał się widząc spłoszony wzrok dziewczyny i dodał cicho:

– Jeśli zechcesz, później pozwolę ci jej posłuchać.

– Och, tak, bardzo bym chciała! Po chwili ciszy Jake odezwał się:

– „Raj Utracony” jest dzisiaj zamknięty. Może przejdziemy do biura i ustalimy warunki kontraktu? Potem możemy iść do mnie i posłuchać nagrania matki Annie.

Harry zrobił smutną minę.

– Chciałbym, ale obawiam się, że musisz negocjować warunki za nas obu. Przed chwilą dzwonił mój wydawca. Muszę jechać na Baton Rouge. Annie... uważaj z tym człowiekiem i jutro po południu zadzwoń do mnie do gazety. Mogę już coś wiedzieć o Solange.

– Dobrze. Dziękuję.

– Cieszę się, że tak wyszło.

– Ja też.

Harry zebrał książki, które przeglądał, gdy Annie weszła, i zaniósł je do biura dzielonego ze współnikiem. Po chwili wyjeżdżał już z parkingu. Annie z Jakiem stali przy fontannie ozdobionej rzeźbą przedstawiającą dwójkę dzieci, chroniącą się pod ogromnym parasolem. Annie rozejrzała się po wyłożonym płytkami chodnikowymi podwórzu, przyjrzała się drzewom bananowym i obtłuczonym doniczkom z geranium.

– Co za uroczy zakątek – zauważyła, czując się niezręcznie sam na sam z tym mężczyzną.

– Mnie też się tu podoba – odpowiedział cicho Jake. Zanurzyła dłoń w wodzie, unikając wzroku mężczyzny.

– Zastanawia mnie ta rzeźba – stwierdziła. – Pasowałaby bardziej do przedszkola niż do klubu nocnego.

Zraniła go ta uwaga.

– Może, ale sam ją tu umieściłem. Widzisz, lubię dzieci... nawet miałem własne dziecko.

Już wcześniej zauważyła, że Jake nie nosi obrączki i choć o niczym to nie świadczyło, ton jego głosu sugerował, że teraz nie jest żonaty. W takim razie rozwiedziony, doszła do wniosku Annie, nie wiedząc, czemu ta myśl uszczęśliwiła ją. Równocześnie poczuła smutek; Jake bardzo rzadko musiał widywać dziecko, o którym mówił.

Kiedy nie odezwała się, Jake oparł się o nagrzaną słońcem framugę drzwi wiodących do biura i przyglądał się jej.

– Możemy omówić warunki tutaj – powiedział, zapalając papierosa. Wymienił sumę, która była zbyt wysoka jako zapłata za trzy noce tygodniowo, a mimo to za niska, aby zapewnić Annie utrzymanie.

W tej chwili nie flirtował z nią, a mimo to Annie czuła silne podniecenie. Z trudem powstrzymywała się od patrzenia na rysunek jego ust i rozpiętą koszulę, odsłaniającą ciemny trójkąt włosów. Jake stał swobodnie i patrzył jej prosto w oczy. Miała wrażenie, że mężczyzna czyta jej najskrytsze myśli. Uważaj, napomniała samą siebie. To jest twój pracodawca.

– Myślę, że to uczciwa oferta – stwierdziła. Kąciki jego ust uniosły się lekko.

– Zbyt łatwo cię przekonać, ale nie będę protestował. Masz świadomość tego, że chcemy mieć standardowy kontrakt: kara za nieobecność na przedstawieniu, zezwolenie na używanie twojego nazwiska w reklamach, razem ze zdjęciem...

Annie odruchowo odgarnęła włosy za ucho.

– Obawiam się, że żadnego nie posiadam – powiedziała.



– W takim razie trzeba to załatwić. – Wyjął z kieszeni portfel, przejrzał kilka wizytówek i wręczył jedną Annie. – Tu jest numer telefonu zaprzyjaźnionego fotografa. Zadzwoń tam i umów się na spotkanie jutro lub pojutrze. – Przerwał i po namyśle wręczył jej drugą wizytówkę. – To jest mój numer telefonu do biura. W normalnych godzinach pracy jestem architektem. Daj mi znać, kiedy zorganizujesz spotkanie.

Wizytówka fotografa, wydrukowana na bladobłękitnym papierze, zawierała nazwisko i zawód wypisane prostymi literami: „Y. L. Carr, Fotografia”. Annie przyglądała się dłużej wizytówce Jake'a. Na beżowym tle umieszczone było brązowe logo i napis: „Ashley Jacobsen St. Arnold, A.I.A.”

– Masz jakieś sugestie dotyczące tego, jak mam się ubrać do fotografii? – zapytała.

Uśmiechnął się.

– Jasne. Włóż najbardziej seksowną, wieczorową suknię. I uczesz włosy tak, aby opadały ci na czoło w ten sugestywny sposób.

Nie była pewna, jak powinna zareagować.

– Kiedy zaczynam? – zapytała, czując się pewniej, gdy rozmowa zesłała na tematy zawodowe.

– Nie powiedziałem ci, prawda? Co powiesz na sobotnią noc? Chyba zdążymy dać ogłoszenie do gazety.

Poczuła lęk.

– Powinam najpierw poćwiczyć...

– Możesz to robić rano z Oscarem, jeśli chcesz. Mieszka w pobliżu biura, na St. Peter Street. Próby z całym zespołem będą się odbywać po godzinach... około trzeciej nad ranem w czwartki lub soboty.

W jej oczach pojawiło się zdumienie.

– Powiedziałaś, że chcesz robić karierę jako piosenkarka – przypomniał jej, uśmiechając się krzywo. – Lepiej przestaw się na tryb funkcjonowania sowy, jeśli zamierzasz przetrwać. No więc, umowa stoi. Może pójdziemy na górę, do mojego mieszkania, i posłuchamy tej płyty?

Annie zgodziła się po krótkim wahaniu i ruszyła za nim po wąskich, żelaznych schodkach na drugie piętro. Nie była przygotowana na widok, jaki zobaczyła. Piękne wnętrze odzwierciedlało w jakiś sposób charakter właściciela.

Białe, wysokie ściany sprawiały, że pomieszczenie robiło wrażenie przestronnego. Podłoga wyłożona była białymi kafelkami i nakryta dywanem w odcieniach beżu, brązu i błękitu. W pokoju był kominek osłonięty kratą z mosiądzu

i żelaza. Fotel i dwie pluszowe sofy pokrywało beżowe obicie. Uwagę zwracały obrazy i kwiaty. Ściany zawieszono były szkicami i akwarelami przedstawiającymi wybitnych artystów jazzowych, wokół stały doniczki z orchideami. Mahoniowe schody z żelazną poręczą wiodły na górę. Annie odgadła, że na piętrze jest sypialnia. Półokrągłe okno było uchylone i pozwalało dostrzec rośliny na parapecie.

– Jak tu cudownie! – wykrzyknęła. Jake uniósł brwi.

– Dziękuję – odpowiedział oschłym tonem. – To mój dom. Rozgość się. Zauważyłem, że nie skończyłaś drinka. Może masz na coś ochotę? W lodówce mam mrożoną herbatę.

– Chętnie się napiję. – Opadła na miękką sofę. – Bez cukru i proszę o kilka plasterków cytryny, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

– Wszystko, czego pragniesz. – Zniknął za drzwiami i po chwili wrócił z dwiema szklankami herbaty.

– Wypij – polecił, stawiając swoją szklankę na niskim stoliku. – Włączę płytę. Stereo ukryte było w szafce. Jake wyjął krążek z koperty.

– Firma Delta – powiedział. – Płyta nagrana z grupą Piątka z Bourbon Street. Mam nadzieję, że nie rozczaruje cię jakość.

Włączył adapter i usiadł obok Annie. Na początku słychać było tylko trzaski, potem rozległy się pierwsze dźwięki i wreszcie głos, bardzo podobny do głosu Annie, podjął melodię.

Poczuła dreszcz, choć nie było jej zimno. Ścisnęła szklankę z taką siłą, że w końcu Jake odebrał jej naczynie i odstawił na stół.

Wyglądało to na cud. Słyszała Solange. Minęło więcej niż dwadzieścia trzy lata, odkąd Annie siedziała na jej kolanach, i dwadzieścia lat od jej śmierci. A teraz głos jej matki rozlegał się w pokoju.

Miała talent, przyznała Annie, nie zauważając łez, płynących po policzkach. I była skazana na zgubę. Nieszczęście, o którym śpiewała, było prawdziwe.

Mimo wszystko nie mogli przebaczyć kobiecie, która tak pięknie śpiewała o rozpacz. To ona była tym aniołem, który złamał serce jej ojca.

Annie słuchała, zafascynowana, jak matka porzuca bluesowe nuty, aby przejść we wspaniałą wokalizę. To nie o Nedzie śpiewała, uświadomiła sobie, nie zauważając, że z jej ust wyrwał się cichy jęk. Miała innych mężczyzn...

Zapadła cisza. Jake schował płytę. Annie wtuliła twarz w poduszkę sofy i nie widziała bólu w Jego oczach, gdy podszedł i ujął jej dłoń.

– Maleństwo... – powiedział.

Podniósł ją z sofy i objął. Nie protestowała. Bezpieczna w jego ramionach, łkała bez zahamowań.

Teraz czuła coś więcej niż ciekawość i chęć zawarcia pokoju z matką. Głos Solange, tak anielski, obudził poczucie odrzucenia i gniew, że nie była dobrą żoną dla Neda i matką dla Annie.

– Kochanie, nie płacz. – Jake objął ją mocniej. Jego silne ręce gładziły ją czule, jakby była dzieckiem.

Annie ukryła twarz na jego ramieniu i modliła się, aby łzy przestały płynąć.

– Wybacz, proszę – udało się jej wykrztusić. – Przepraszam, jestem głupia.

– Nie przepraszaj. Powiedz, co mogę zrobić.

– Po prostu obejmij mnie.

Zdawało się, że jej słowa wszystko zmieniły. Nie wiedząc kiedy, ona też go objęła. Stali pośrodku pięknego pokoju; ciemna głowa przytulona do jasnej. Silne dłonie mężczyzny odgarnęły włosy i dotknęły gładkiej skóry na szyi i ramionach.

Po chwili dotyk Jake'a zmienił się; współczucie zmieniło się w pożądanie. Annie nie wiedziała, czy chce, żeby on jej pragnął. A jednak jego namiętność zapaliła w niej płomień tęsknoty.

:

\

– Och, Jake – szepnęła, ogarnięta uczuciami, których nie mogła zignorować. Nie myśląc o konsekwencjach, przesunęła dłonie po jego plecach i zanurzyła palce we włosy, tak jak robiła to wcześniej w wyobraźni.

Westchnąwszy, jakby poddając się, przygarnął ją do siebie. Czuła jego twarde ciało i zapach: wody po goleniu i nagrzaną słońcem skórę.

Jake zaczął całować jej czoło i policzki tak, jakby od dawna byli kochankami.

– Annie – szeptał. – Wiesz, jak to dobrze mieć cię tak blisko?

Później Annie wmawiała sobie, że to był moment przełomowy. Mogła się wycofać, przeprosić gospodarza i zniknąć na chwilę w łazience pod pretekstem poprawienia makijażu.

Bez wątpienia jednak jej zdolność do stawiania oporu była iluzją. Jakaś moc w Jake'u blokowała wszelkie próby obrony, choć zarazem obiecywała bezpieczne schronienie.

Przy nim nie umiała myśleć racjonalnie. Czuła tylko tęsknotę, zalewającą ją falami i niemożliwą do kontrolowania. Chęć, żeby się ze mną kochał, uświadomiła sobie ze zdumieniem; żeby poznał moje ciało i kołysał mnie w ramionach, tak abym zapomniała o wszystkim.

## Rozdział 4

Ciepłe wargi Jake'a muskały jej usta, nakłaniając je do rozchylenia się. Po chwili, jakby wyczuł jej marzenia o poddaniu się, pocałował ją mocniej i zdawało się, że przenika do samego środka jej jestestwa. Dłoni pieścił jej piersi, masując je poprzez srebrnoszary materiał. Annie zabrakło tchu, gdy pomyślała, że za chwilę Jake rozepnie jej sukienkę.

– Nie – powiedział nagle.

Ku jej zdumieniu i wstydowni odsunął się i zdjął jej rękę ze swej szyi. Nastąpiła scena, którą Annie wyobrażała sobie pod koniec bluesowej piosenki.

– Nie rozumiem... – szepnęła udręczonym głosem.

– Nie mogę tego od ciebie wymagać.

Wykonał niecierpliwy gest i odwrócił się. Na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie. Zapalił papierosa.

Dało to Annie czas na opanowanie się. Zawstydzona i raz jeszcze bliska łez, nie poddała się. Drżącą ręką poprawiła włosy i wygładziła sukienkę.

– Wydaje mi się, że jesteś mi winien wyjaśnienie – powiedziała, starając się na próżno, aby jej głos brzmiał normalnie. – Nie da się ukryć, że to, co robiliśmy, sprawiało ci taką samą przyjemność... jak mnie.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Masz rację – przyznał, wydmuchując dym. – Sprawiało. Ale nie jesteś dziewczyną, z którą chciałbym nawiązać romans.

Teraz to ona była zdumiona.

– Naprawdę? Za jaką dziewczynę... nie, kobietę, mnie uważasz?

– Miłą, uczciwą i niebezpieczną, a także namiętą i godną pożądania. Prawdę mówiąc, przykro mi, że nie mogę ciebie wykorzystać.

– Och, jaki ty jesteś uczciwy!

Jake potrząsnął głową. Widziała, że sarkazm w jej słowach dotknął go.

– Jestem niezbyt uczciwy – przyznał. – Ale mam swoje powody i nie spodziewam się, że je zrozumiesz. Proszę cię o wybaczenie. To moja wina, że daliśmy się ponieść emocjom.

– Naprawdę? Myślałam, że jesteś bardziej spostrzegawczy.

Zebrała swoje rzeczy.

– Annie – odezwał się, stając przy drzwiach i kładąc jej dłoń na ramieniu. – Jeśli chcesz dla mnie pracować... oboje będziemy musieli zapomnieć o tym, co się

dzisiaj wydarzyło.

Odrzuciła jego dłoń.

– Wciąż chcesz, żebym dla ciebie pracowała?

– Musisz pytać? Może o tym nie wiesz, ale jesteś bardzo dobrą piosenkarką. „Raj Utracony” dużo zyska dzięki tobie.

Annie zerknęła na niego. Co za ironia losu, odpowiedziała mu w myślach. Wreszcie udzieliłeś mi votum zaufania jako piosenkarce, ale dopiero po tym, jak wytrąciłeś mnie z równowagi jako kobietę.

Jak zwykle, stał za blisko i Annie pożałowała, że mu na to pozwoliła.

– No wiec? – zapytał zmysłowym, ochryłym głosem. – Jeszcze nie podpisałaś kontraktu. Chcesz wycofać się z umowy?

Cieżko będzie pracować dla niego po tym, co się stało, kiedy mogę już odgadnąć, jaki byłby jako kochanek, pomyślała.

– W porządku – zgodziła się wiedząc, że nadal pragnie mieć tę pracę. – Umowa stoi. Ale złożę ci jeszcze obietnicę. Między nami nie zdarzy się już nigdy nic takiego... nawet jeśli zmienisz zdanie.

W jego pięknych oczach na ułamek sekundy zapłonął żal.

– To uczciwe – zgodził się. – Nawet jeśli chciałbym zachować się inaczej niż dżentelmen i zostawić sobie otwartą furtkę. Nie zapomnij zadzwonić do mnie, kiedy umówisz się już z fotografem. Chcę być na miejscu, żeby wszystkim pokierować.

– Dobrze – rzuciła Annie, unosząc podbródek. – W takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odrzekł.

Gdy schodziła po wąskich żelaznych schodkach, kłębiły się w niej emocje. Wiedziała na pewno, że Jake jej pragnął. Mimo to, z nieznanych powodów, zdecydował, że nie może jej mieć.

Nie kryła swego pożądanego, ale na razie wstyd ustąpił zastanowieniu. Powiedział jej, że jest za miła i za uczciwa; z taką kobietą nie chciał nawiązywać romansu.

Czując do siebie obrzydzenie, zaczęła go usprawiedliwiać. Założę się, że jego była żona doskonale odpowiada temu opisowi, myślała. Na pewno była oziębła, pruderyjna i nie wiedziała, jak zadowolić mężczyznę. Albo może uważała, że jest zbyt dobra dla niego. Jake musi być tak wypalony, że nie chce się angażować, szuka takich kobiet, o których wie od samego początku, iż nie mógłby ich pokochać.

Jeśli którekolwiek z jej wyjaśnień odpowiadało prawdzie, Jake powiedział jej

nie zamierzony komplement. Annie nie miała pewności, czy na to zasługuje. Moje zachowanie w mieszkaniu Jake'a dziś po południu dowodzi, że wcale nie jestem tak miła i niewinna, pomyślała.

Może po raz setny zaczęła zastanawiać się, czy jest taka, jak jej matka Solange: zmysłowa, lubiąca podejmować ryzyko i samotna; kobieta, która mogłaby zostawić ukochanego mężczyznę, dążąc do realizacji swych celów. Z pozoru anioł, dodała, tak jak mężczyźni z klubu „Czerwone Drzwi” widzieli jej matkę. Czy obie jesteśmy takie same, myślała, kobiety z ambicją zamiast duszy?

Czy, będąc w ramionach Jake'a, nie miała jednak wrażenia, że wszystkie jej plany nic nie znaczą? Czy nie miała ochoty kochać się z nim natychmiast i zrobiłaby to, gdyby się nie odsunął? W tej chwili nie musiała o tym myśleć. Jake odsunął się i uratował ją przed nią samą. Teraz Annie miała ważniejsze sprawy na głowie. Musiała poćwiczyć piosenki, przygotować się do rozmowy z właścicielką pensjonatu na temat swojej matki i znaleźć inną pracę w niepełnym wymiarze godzin.

Czuła jeszcze dotyk warg Jake'a, ale mogła tylko starać się o tym nie myśleć.

Rozmowa z Sabriną Johnson nie przyniosła żadnych rezultatów. Choć kobieta szczerze pragnęła pomóc Annie, niewiele miała do powiedzenia.

– Jakies dziesięć lat temu, krótko przed tym, jak podjęłam tu pracę, pensjonat został kupiony przez nowego właściciela. Od tamtej pory mieliśmy wielu mieszkańców. Ci, którzy są tu teraz, nie mogą pamiętać pani Arnogne, nie mówiąc już o twojej mamie. Przykro mi.

Annie miała ochotę wykorzystać jej pianino do ćwiczeń i tym razem właścicielka pensjonatu także wykazała maksimum dobrej woli.

– Oczywiście, kochanie, ćwicz, ile chcesz... pod warunkiem że będziesz zaczynać po dziesiątej rano i kończyć o przyzwoitej porze wieczorem. Kariera piosenkarki musi być podniecająca. Kiedyś sama o niej marzyłam.

Po rozmowie z Sabriną Johnson Annie zadzwoniła do fotografa. Słuchawkę podniosła kobieta. Jej głos brzmiał ostro i słysząc w nim było rezerwę i pewność siebie.

Annie przedstawiła się i poprosiła o spotkanie, dodając, że dzwoni na polecenie Jake'a St. Arnolda. Ton kobiety natychmiast się zmienił.

– Ach – rzuciła z zainteresowaniem. – Jest pani pewnie tą piosenkarką, o której mi opowiadał.

A więc Jake rozmawiał o niej z tą kobietą, która zapewne była asystentką fotografa. Wbrew rozsądkowi zaczęła się zastanawiać, czy są ze sobą blisko.

– Tak – przyznała. – Chcę umówić się na spotkanie jak najszybciej.

Usłyszała szelest odwracanych kartek.

– Mamy czas w środę o dziesiątej – oświadczyła w końcu kobieta. – Zna pani adres. Jeśli pani chce, zadzwonię do Jake'a i poinformuję go o terminie spotkania.

– Byłabym wdzięczna – odpowiedziała Annie, nie mogąc ukryć ostrej nuty w głosie.

Czując się dziwnie zdenerwowana, wróciła do pokoju i przebrała się w białą bluzkę, beżową spódnicę i pantofle na niskich obcasach. Dziś wyglądam miło i całkiem uczciwie, zakpiła, patrząc w lustro. Natychmiast przysięgła sobie, że będzie rozsądna. Rozpamiętywanie tego, co stało się w mieszkaniu Jake'a, i tęsknota za tym, co mogło się stać, nie miały sensu.

Koncentruj się na tym, co masz do zrobienia, napomniła siebie. Dzisiaj oznaczało to znalezienie drugiej pracy.

W dziennym świetle Bourbon Street wyglądała inaczej. Szlabany blokujące ruch uliczny w nocy zdjęto i wokół pełno było ciężarówek dostawczych, wypełnionych żywnością i napojami. Annie nie wiedziała, w którym kierunku iść, ani nawet jaką pracę chce znaleźć. Mijała tłumy turystów, obwieszonych aparatami fotograficznymi. Tak jak oni, patrzyła szeroko otwartymi oczami na liczne restauracje, kluby jazzowe i sklepiki z koszulkami, pocztówkami i pamiątkami.

Kiedy doszła do Canal Street, zawróciła. Nagle w oknie baru „Jericho”, gdzie serwowano ostrygi, zobaczyła ogłoszenie: *Potrzebna kelnerka. Praca w niepełnym wymiarze godzin.* Zajrzała do środka i spodobał jej się wystrój: białe, ośmiokątne kafelki na podłodze, ściany wyłożone ciemną boazerią. Nawet menu jej odpowiadało. Zdawało się, że serwowane są głównie raki, langusty, ostrygi i piwo.

Czemu nie spróbować, pomyślała. Kelnerstwo to uczciwy zawód, a poza tym zatrudnienie się w tej chwili oszczędzi dalszych spacerów. Nieśmiało weszła do środka i stanęła przed barem. Olbrzymi mężczyzna w białym uniformie i tradycyjnej kucharskiej czapce oparł łokcie na ladzie i patrzył na nią uważnie.

Obdarzając go jednym ze swych najbardziej czarujących uśmiechów, Annie przedstawiła się i wyjaśniła, że weszła tu, bo przeczytała ogłoszenie.

– Nigdy nie pracowałam jako kelnerka. Jestem na rocznym płatnym urlopie – przyznała. – Mam pracę w niepełnym wymiarze godzin w klubie „Raj Utracony”. Poszukuję jednak jakiegoś dodatkowego zajęcia.

Tęgi mężczyzna pogładził wąsy.

– Zawsze pracują u mnie piosenkarze – powiedział, zerkając w stronę jedynej kelnerki, szczupłej dziewczyny o brązowych włosach, która uśmiechała się do

Annie.

Annie czekała cierpliwie. Po długiej chwili mężczyzna przedstawił się jako Bubba Wright i zaczął jej wyjaśniać, na czym będą polegać jej obowiązki. Dwadzieścia minut później była już przyjęta i miała natychmiast przystąpić do pracy.

– Cześć, nazywam się Sally Ryan. Nic nie mogłam poradzić na to, że wszystko słyszałam – powiedziała dziewczyna, wyciągając rękę, kiedy Annie przebrała się już w strój kelnerki i wróciła na salę. – Ja też jestem kimś w rodzaju piosenkarki. Jesteś od niedawna w tym mieście? Nie szukasz przypadkiem kogoś, z kim mogłabyś wspólnie wynajmować mieszkanie?

Po powrocie do domu Annie miała wrażenie, że jej stopy zanurzone są w ołowiu. Za to zarobiła trochę pieniędzy i znalazła możliwość zamieszkania w lepszym miejscu. Leżąc w łóżku spoglądała na białą, wieczorową suknię Solange, wiszącą w otwartym oknie.

Nazajutrz rano miała próbę z Oscarem, a potem musiała zjawić się u fotografa. Jake też przyjdzie, żeby upewnić się, czy Annie wygląda i pozuje tak, jak on chce. Pozbędę się tego głupiego zauroczenia, nawet jeśli miałoby mnie to zabić, pomyślała, gasząc światło. Kiedy go jutro zobaczę, nie będzie miał pojęcia, co do niego czuję.

Studio fotografa znajdowało się na Jackson Square, na drugim piętrze. Annie niosła suknię Solange na wieszaku w foliowym worku, buty i kosmetyki do makijażu w małej torbie na ramieniu. Wchodząc do poczekalni, miała dużo wątpliwości. Jak powinna pozować, aby zadowolić Jake'a? Czy jego przyjaciółka, asystentka o głosie syreny, zauważy napięcie między nimi?

Jakby w odpowiedzi na te pytania ze studia wyszła wysoka, zgrabna brunetka w spodniach khaki i obszernej, jedwabnej koszuli. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Annie wyczuła, że oto spotkały się dwie kobiety, którym podoba się ten sam mężczyzna.

Annie przedstawiła się, obrzucając spojrzeniem ciemne, krótkie włosy kobiety i jaskrawą szminkę i wyczuwając aurę pewności siebie, jaką wytwarzała asystentka. To z taką kobietą Jake może nawiązać romans, myślała. Z całą pewnością nie jest to niewinna panienka.

Głos kobiety wyrwał ją z zamyślenia.

– Jestem Yolande Carr. Tam znajduje się garderoba. Proszę przebrać się i natychmiast weźmiemy się do pracy. Jake powinien zjawić się lada moment.

Annie nie mogła oderwać od niej wzroku.



– To pani... jest fotografem?

Jej pytanie wywołało na wargach kobiety leniwy, szeroki uśmiech.

– A jak pani myślała? Że to typowo męski zawód?

– Nie, tylko Jake nigdy nic nie wspominał... Yolande wzruszyła ramionami.

– To do niego podobne. A teraz, jeśli pani me ma nic przeciwko temu...

Idę, idę, pomyślała Annie, wdzięczna za szansę schronienia się w garderobie.

– Proszę zrobić ostrzejszy makijaż. Ten obecny zniknie zupełnie w świetle reflektorów.

Tak jakbym nic nie wiedziała o makijażu scenicznym, pomyślała Annie, wykrzywiając się do lustra. Miała poczucie, że została potraktowana jak niegroźna rywalka, i ta myśl rozgniewała ją.

Zdjęła ubranie, wsunęła stopy w sandały na szpilkach, kupione niecałą godzinę temu, i włożyła wydekoltowaną suknię.

Kiedy poprawiła makijaż i fryzurę i pojawiła się w studio, Jake już czekał. Spojrzał na nią i w jego niebieskich oczach zapłonął ogień.

– Uroczo – zauważył. Musnął palcami materiał sukni. – Miałem nadzieję, że ubierzesz się w coś takiego.

– Z całą pewnością suknia ma odpowiedni dekolt jak na twój gust – zadrwiła.

Nieco zbyt długo patrzył na jej biust.

– Ja tego nie powiedziałem – odrzekł, rzucając jej łobuzerskie spojrzenie. – Może nie mam ochoty płacić za spróbowanie wyrobu, ale nie znaczy to, że nie lubię oglądać wystaw.

Wściekła Annie stała bez ruchu, marząc, aby Jake przestał się jej przyglądać. Czuła szybsze bicie serca, a jej policzki okryły się rumieńcem.

Jakby czytając w jej myślach, Jake spuścił wzrok.

– Zaczynamy, Yolande! – zawołał. – Zrób kilka zdjęć na rozgrzewkę i zobaczymy, jak to wychodzi.

– W porządku. – Podwijając rękawy koszuli, kobieta włączyła reflektory i ustawiła je pod odpowiednim kątem. – Stań tam – poleciła Annie i sprawdziła natężenie światła. – Gotowe.

Ku zdumieniu Annie, Jake podał jej mikrofon.

– To tylko atrapa – poinformował ją, włączając taśmę z instrumentalną wersją piosenki, którą grał pierwszego popołudnia. – Chcę, żebyś śpiewała tak, jakby za tobą stała cała orkiestra.

Światła reflektorów sprawiały, że reszta pomieszczenia wydawała się pogrążona w półmroku. Mimo to, choć Annie nie widziała Jake'a, czuła jego

obecność. Cofnął taśmę do początku, a Yolande przygotowała się do zrobienia kilku próbnych zdjęć.

Zdenerwowana i zawstydzona Annie odkryła, że nie może wydobyć z siebie głosu i wbija paznokcie w dłonie.

– Jest za sztywna – poskarżyła się Yolande. Jake wzruszył ramionami.

– Zobaczymy, może się uda to przełamać. Wyłączył magnetofon.

– W porządku, Annie – powiedział, podchodząc bliżej. Jego twarz nadal była ukryta w cieniu. – Na chwilę zamknij oczy. Słuchaj mnie i nie myśl o niczym więcej.

Annie posłusznie wypełniła jego polecenie.

– Udawaj, że jesteśmy tu tylko we dwoje, na próbie. To nie taśma; to ja gram na pianinie i czekam, żebyś zaczęła śpiewać wyłącznie dla mnie. W porządku?

– W porządku – szepnęła.

– Teraz zacznij śpiewać *a capella*, a ja po chwili włączę taśmę.

Jakimś cudem udało jej się zacząć śpiewać. Na początku głos brzmiał niepewnie i drżąco. Potem, gdy Jake włączył taśmę, opanowała się i otworzyła oczy.

– Właśnie tak, aniołku – zachęcał ją. – Jesteś tak cholernie piękna, że nie powinnaś być nieśmiała. Nie zwracaj uwagi na aparat. Śpiewaj wyłącznie dla mnie.

Może sprawił to fakt, że nie mogła go widzieć w półmroku; może był to głos, który brzmiał tak jak wówczas, gdy Jake powiedział, że dobrze jest trzymać ją w ramionach. Niezależnie od przyczyny, Annie poczuła, że piosenka ją rozgrzewa, i zaczęła swobodnie się poruszać. Potrząsnęła głową i poczuła, że włosy opadają jej na czoło w sposób, jaki lubił. Tak byłoby, gdybyśmy byli kochankami, mówiła mu, przekazując tę informację słowami klasycznej piosenki.

– Świetnie, skarbie.

Yolande robiła zdjęcia, ale Annie nie dostrzegła tego.

– Wykorzystaj swoje wspaniałe ciało – podpowiadał Jake głosem, który był na wpół szeptem i zawierał w sobie obietnicę. – Obróć się... o tak... Odrzuć głowę do tyłu i wysuń biodra do przodu, tak jak robiłaś, kiedy śpiewałaś dla mnie i Harry'ego. Daj poznać publiczności, jak się czujesz jako kobieta. Doprowadź mnie do szaleństwa tym, co oboje wiemy, że posiadasz.

Jak we śnie Annie wypełniała jego polecenia. W tej piosence pozwoliła sobie wyrazić własne uczucia. Teraz jej głos był równy i przekazywał wszystkie emocje.

Zanim zdała sobie z tego sprawę, sesja dobiegła końca. Jake wyłączył magnetofon.

– To wszystko, Annie – powiedział. – Byłaś fantastyczna.

– Myślę, że mamy parę udanych zdjęć – oświadczyła Yolande, wyłączając reflektory. Z całą pewnością zwracała się do Jake'a. – Na pewno chcesz je mieć jak najszybciej. Mogę je wywołać do czwartej, jeśli zechcesz wstąpić tu po południu.

Jake skinął głową.

– Może pójdziemy na lunch?

Przez chwilę Annie stała bez ruchu, starając się przyzwyczać do normalnego światła. Czyżby Jake, po wywołaniu w niej tak silnych emocji, mógł ją tak łatwo porzucić? I co myślała ta kobieta o grze, jaką przed chwilą prowadził? Prawdopodobnie tyle, że jeśli Annie dała się omamić, to jest głupia.

Teraz Annie czuła, że chętnie przyjęła narzuconą rolę. Odłożyła mikrofon na podłogę i odwróciła się w stronę garderoby.

– Ty też jesteś zaproszona! – zawołał za nią Jake. – Chyba po prostu skoczmy do baru na zupę i kanapkę.

Nie spojrzała na niego.

– Dzięki, ale nie mogę – odpowiedziała, starając się, aby jej głos nie zdradzał emocji. – Mam inne zobowiązania.

## Rozdział 5

Zobowiązaniem Annie, o którym powiedziała Jake'owi, była praca w barze „Jericho”. Przez osiem godzin, spędzonych na obsłudze klientów, nie miała czasu rozmyślać o sesji fotograficznej. Mimo to czuła wstyd. Niezbyt chętnie myślała o podpisywaniu kontraktu następnego popołudnia.

Kiedy opuszczała studio, Jake poprosił, aby przysłała do jego biura.

– Harry też będzie – dodał.

Powiedziała mu, że już umówili się z Harrym i przyjdą razem.

– Spotkam się z nim w redakcji – oświadczyła, nie wyjaśniając, że Harry zaprosił ją po to, aby obejrzała artykuły o swojej matce. Wyraz twarzy Jake'a – mieszanka wystudiowanej nonszalancji i czegoś, co mogło być zazdrością, był dla niej nagrodą.

Mimo że była zmęczona po pracy, nadłożyła drogi o kilka przecznic, żeby obejrzeć mieszkanie Sally. Choć w zaniedbanej dzielnicy, okazało się pięknie położone.

– A więc jesteśmy – oświadczyła Sally, prowadząc Annie przez łukowatą bramę i wąski pasaż między antykwariatem i małą galerią sztuki. Wzdłuż pasażu stały obrazy i rowery. Wytarte litery na szyldzie głosiły: *Herbaciarnia Zodiak. Przepowiednie losu.*

Na końcu znajdowało się podwórko. Nie było tak pięknie utrzymane jak podwórko Jake'a, ale Annie uśmiechnęła się, patrząc na spłowiały parasol słoneczny, zniszczone wiklinowe krzesła i kwiaty doniczkowe różnego rodzaju i w różnym stanie. W rogu gazowa lampa oświetlała wejście do lokalu chiromanty. Dzikie wino obrastało balkon na drugim piętrze i pięło się po poręczy schodów wiodących do mieszkania Sally.

– Podoba mi się tu – powiedziała Annie w odpowiedzi na pytający wzrok Sally.

Sally wzruszyła ramionami, choć ucieszyło ją stwierdzenie koleżanki.

– Mnie też – oświadczyła. – Chodź na górę. Niewielkie mieszkanie z drewnianymi okiennicami składało się z pokoju z zapadniętą sofą i dwóch małych sypialni. Nie było okazałe, ale Annie nie musiała zastanawiać się długo. Zgodziła się przeprowadzić do Sally i płacić połowę rachunków.

Następnego dnia, idąc do redakcji gazety, miała inne rzeczy na głowie. Nawet jeśli praca u Jake'a okaże się trudna, postanowiła nie rezygnować z występów. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na tremę na dzień przed pierwszym

koncertem.

Drugim powodem chęci pozostania w mieście była chęć zdobycia informacji o Solange. Mam nadzieję, że Harry coś znalazł, pomyślała. W holu budynku podała swoje nazwisko recepcjonistce, ta zaś zadzwoniła do biura Harry'ego na drugim piętrze.

– W porządku – powiedziała z uśmiechem, odkładając słuchawkę. – Proszę wejść na piętro, skrócić w prawo i jeszcze raz w prawo. Biurko Harry'ego Wilsona znajduje się w rogu pokoju.

Annie bez trudu odnalazła Harry'ego.

– Cześć – rzucił na przywitanie, wstając i obejmując ją. – Jak było na próbie z Oscarem?

– Myślę, że nieźle. – Zawahała się. – Muszę przyznać, że denerwuję się trochę na myśl o jutrzejszym występie.

– Nie musisz. – Wskazał jej krzesło. – I nie pozwól, żeby Jake cię onieśmielał. Na początku nie będzie z nami grał, więc nie będziesz dzielić z nim sceny. Po prostu patrz na jakąś przyjazną twarz na końcu sali.

Annie zapomniała o Jake'u, gdy Harry podsunął jej kilkanaście artykułów o jej matce, z których trzech nie знаła.

Najpierw jej uwagę przyciągnął nekrolog zamieszczony wraz ze zdjęciem wielkości znaczka pocztowego. Podpis brzmiał: *Piosenkarka z „Czerwonych Drzwi” umiera po krótkiej chorobie*. W notatce podano datę śmierci jej matki i miejsce – lokalny szpital. Jako krewnych wymieniono Neda, Annie i Trosclairów. Ciekawe, dlaczego podali nazwisko Neda, skoro rodzice byli rozwiedzeni, pomyślała Annie, wpatrując się w fotografię.

– Była piękna – powiedział Harry, zerkając na zdjęcie. – Nie wiem, czy ktoś ci mówił, że jesteś do niej podobna.

– Dzięki. – Annie poklepała go po ręce. – Mam nadzieję, że dorównam jej talentem.

– Przypuszczam, że Jake pozwolił ci posłuchać jej płyty.

– Tak.

I im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej, dodała w myślach, czytając drugi artykuł. Była to recenzja, bardzo podobna do tej, którą przechowywał Ned.

Trzeci opisywał bójkę, która miała miejsce w klubie.

Solange i właściciel klubu, Harold Dorsey, byli świadkami na rozprawie.

– Tylko to nazwisko udało mi się ustalić – stwierdził Harry. – Nie wiem, czy na coś ci się przyda ta informacja. Sprawdzałem w książce telefonicznej i kilku innych

miejskach. Może Harold Dorsey umarł albo przeprowadził się. Zgodnie z oficjalnymi danymi, nie ma go w Nowym Orleanie.

Na prośbę Annie Harry raz jeszcze przejrzał książkę telefoniczną, tym razem szukając nazwiska byłej właścicielki pensjonatu. Rezultat był taki sam.

– Obawiam się, że niewiele ci pomogłem – powiedział. – Pozwól, że w zamian zaproszę cię na lunch.

Po posiłku pojechali do biura Jake'a. Mieściło się na dwudziestym drugim piętrze nowoczesnego wieżowca. Na drzwiach była tabliczka: „Jacobsen & St. Arnold, A.LA”.

Chwilę później sekretarka w średnim wieku wprowadziła ich do biura.

– Wejdźcie, czekałem na was – powiedział Jake, uśmiechając się krzywo.

Biuro różniło się wystrojem od klubu i mieszkania Jake'a, a mimo to Annie musiała przyznać, że bardzo się jej tu podoba.

– Usiądźcie – zaproponował, wskazując im fotele.

– Może macie ochotę na drinka?

– Nie mogę, pracuję – mruknął Harry, przeglądając dokument. – Według mnie kontrakt jest w porządku. Masz pióro?

– A co ty powiesz, Annie? – zapytał Jake, podając współnikowi czarne pióro ze złotym monogramem.

– Mogę ci przygotować gin z tonikiem, jeśli masz ochotę.

Próbowała nie cieszyć się z faktu, że Jake pamięta, co lubi.

– Dziękuję – odpowiedziała, – Oblewaliśmy ten kontrakt wcześniej, pamiętasz?

Niezbyt szczęśliwie dobrała słowa. Przypomniała mu nie tylko chwile, gdy pili w trójkę przy barze, ale również przykrą scenę w jego mieszkaniu. Nie chcąc widzieć jego wzroku, chwyciła dokument i zaczęła go przeglądać.

– Z tego, co widzę, jest tu wszystko, o czym rozmawialiśmy – stwierdziła, podpisując cztery kopie. – Harry, jeśli już wychodzisz, to chętnie zabrałabym się z tobą.

– Prawdę mówiąc, trochę się spieszę. O szóstej muszę skończyć artykuł do sobotniego wydania.

Wstali.

– Mogę cię odwiedzić do Dzielnicy Francuskiej, jeśli chcesz – powiedział Jake, przenosząc wzrok z Harry'ego na Annie. – I tak muszę wyjść, a Harry'emu nie jest po drodze. Poza tym, jeśli masz czas, chętnie przedyskutowałbym z tobą pewną sprawę.

Zmarszczyła brwi.

– Czy nie możemy z tym poczekać?

– Możemy, ale wolałbym zrobić to przed twoim występem.

– W takim razie zamieniam się w słuch. Pożegnała się z Harrym, podeszła do okna i stała tak przez chwilę. Potem wyczuła, że Jake stoi tuż za nią.

– Chcę cię przeprosić – powiedział swoim niskim, ochrypłym głosem.

– Za co tym razem? – Wpatrywała się w most na Missisipi, choć sama wzdrygnęła się, słysząc tyle sarkazmu w swoim głosie.

– Za to, jak zachowałem się w swoim mieszkaniu i za to, że zawstydziłem cię w studio. Naprawdę nie zamierzałem tego robić.

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy.

– Wolałbym, żebyś mi wybaczyła. Może pocieszy cię wiadomość, że zdjęcia okazały się tego warte. Nie znam lepszego słowa, więc określe je jako oszałamiające.

Annie nie uderzyła go, choć miała na to ochotę. Nawet jeśli wyglądam lepiej niż Billie Holiday, zaczekam, aż sam mi zaproponuje obejrzenie tych zdjęć, przysięgła sobie.

Jednak nie zaproponował jej tego, a przynajmniej nie od razu.

– Mam dla ciebie prezent. Myślałem, że ułatwi mi okazanie skruchy – powiedział miękko.

Na te słowa odwróciła się i spojrzała na Jake'a.

– Nie wyobrażaj sobie, że przyjmę cokolwiek...

– To możesz przyjąć.

Wziął z biurka płytę Solange i podał jej.

– Chciałem dać ci to wcześniej. Powinnaś ją mieć, niezależnie od tego, czy chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi.

Annie wzięła płytę drżącymi palcami. Traktowała ją jak małą część dziedzictwa, którego tak jej brakowało i które wreszcie odzyskała.

– Dziękuję... bardzo – wyszeptała. – Chciałabym przyjaźnić się z tobą.

– Umowa stoi. – Pochylił się i pocałował ją w policzek. – Naprawdę jesteś aniołem, wiesz? Tak jak niegdyś twoja matka.

Annie energicznie potrząsnęła głową.

– Nie, to nieprawda. Solange nie była aniołem i ja też nim nie jestem.

Jake spojrzał na nią z niedowierzaniem i uśmiechnął się.

– Przykro mi, ale tak cię widzę. Dziwię się, że nie widziałaś jeszcze reklamy. Ukazała się w porannej gazecie.

Pół godziny później wysiadała z jego samochodu. W kieszeni miała kopię reklamy. Dużymi literami wypisano: *Gorący jazz i cajuńskie lamentsy wykonywane przez Annie Duprez, Anioła Bayou*. Trudno było uwierzyć, że eteryczna postać na zdjęciu to ktoś, kogo Annie dobrze zna.

Napięcie nie opuściło Annie, gdy pracowała przez cztery godziny w barze. Sen, niespokojny i przerywany, także nie przyniósł ukojenia.

– Dziewczyno, jesteś kłębkim nerwów – zauważył Oscar, kiedy pojawiła się następnego ranka na ostatniej próbie przed występem. – Lepiej uspokój się i weź to z marszu.

– Próbuje – odpowiedziała, uśmiechając się słabo do starego pianisty. – Ale to wielka odpowiedzialność. Ta reklama w gazecie... Nie chcę, żeby Jake i Harry wyszli na idiotów.

– Na pewno nie wyjdą, skarbie. – Oscar uśmiechnął się i uderzył w klawisze, podając pierwsze akordy piosenki. – Pozwól, żeby muzyka cię uspokoiła – doradził. – Przecież to twój świat.

Rada Oscara odniosła skutek. Kiedy wróciła do pensjonatu około wpół do drugiej, żeby się zdrzemnąć, po raz pierwszy czuła, że powinna odnieść sukces. Mimo to, kiedy piętnaście po siódmej wchodziła do klubu, była zdenerwowana. Przyniosła ze sobą świeżo upraną czarną, aksamitną suknię.

Grał już jakiś zespół i przy stolikach siedzieli ludzie. Harry zauważył Annie niemal natychmiast i poprowadził ją do małej garderoby, która znajdowała się obok biura.

– Mój partner się spóźni – powiedział, zauważając rzucane przez nią spojrzenia. – Przyjechał jego klient. Myślę, że zdąży obejrzeć twój występ.

Miała zacząć o ósmej. Ubierając się i robiąc makijaż cokolwiek drżącą ręką, słyszała dźwięki starych utworów.

Spojrzała w lustro. Może to nie ma znaczenia, pomyślała, ale wiem, dlaczego wybrałam tę sukienkę. Przeczy teorii Jake'a, że jestem aniołem.

W tej samej chwili usłyszała pukanie do drzwi.

– Jesteś ubrana? – rozległ się głos Jake'a.

– Tak – odpowiedziała. Po plecach przebiegł jej dreszcz. – Wejdz.

Otworzył drzwi i wszedł. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i doskonale skrojony czarny garnitur. Garderoba wydawała się za mała dla nich dwojga.

– Mój Boże, Annie, wyglądasz pięknie – westchnął. – Ta sukienka... twoja skóra wygląda jak mleko. Publiczność oszaleje.

Po chwili opanował się.



– Powiedz coś – dorzucił swym zwykłym, kpiącym tonem. – Dowiedz, że nie zapomniałaś języka w buzi. Chcę się upewnić, że kiedy znajdziesz się w świetle reflektorów, będziesz mogła zaśpiewać.

– Nie martw się – wykrztusiła. – Czuję się świetnie. Przy Oscarze nic mi się nie stanie.

– Dobrze. Mam nadzieję, że Harry powiedział ci...

że poprosił pewnego krytyka o napisanie recenzji. Myślę, że ten facet jest już na sali. Poza tym jeden z moich najlepszych klientów, który zna się na jazzie, akurat jest w mieście i przyszedł tutaj.

Wątpliwe, czy Jake zdawał sobie sprawę, że jego słowa nie niosą z sobą otuchy.

– Sądzisz, że będą mną zachwyceni? – westchnęła Annie.

Jake skinął głową i wyraz jego twarzy złagodniał.

– Tak uważam. Jesteś rewelacyjna – odrzekł. Nie zauważyła, jak to się stało, ale nagle Jake ją obejmował, a jego usta dotykały jej warg. Tym razem nie był gwałtowny. Całował ją delikatnie i z czułością, jakby była kimś specjalnym, godnym uwielbienia i troskliwej opieki.

Annie poddała się jego pieścizocie; stała bez ruchu, zaskoczona i szczęśliwa. Wreszcie Jake cofnął się trochę, lecz nadal trzymał ręce na jej ramionach. Tym razem raczej nie żałował tego, co zrobił.

– Jake... – zaczęła Annie.

Potrząsnął głową. Rożkiem chusteczki wytarł szminkę, którą lekko rozmasał.

– Nie chciałem zmieniać zasad bez konsultacji z tobą – mruknął. – Powiedzmy, że był to pocałunek na szczęście. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Annie nadal czuła podniecenie, gdy szli razem przez podwórko. Zauważyła, że zegar nad wejściem do jednego z klubów wskazuje pięć minut przed ósmą. Poprzednia grupa odeszła i na scenie zaczęli się pojawiać muzycy z kwintetu. Na miejscu Jake'a siedział chudy, uśmiechnięty Murzyn. Oscar, kierujący tej nocy zespołem, patrzył w kierunku tylnego wejścia, czekając na pojawienie się Annie.

– Najpierw zagrają kilka utworów, żeby rozruszać publiczność – szepnął Jake.  
– Zaczekamy tutaj. Kiedy Oscar da mi znak, przedstawię cię i poproszę do mikrofonu.

– Dobrze. Ścisnął jej dłoń.

Później Annie nie była w stanie przypomnieć sobie, jakie piosenki były grane i jakie dowcipy opowiadał Oscar, chcąc nawiązać kontakt z publicznością. Kiedy była w garderobie, zjawiło się mnóstwo ludzi i Annie uświadomiła sobie, że będzie śpiewać przy pełnej sali. Kilka osób było w strojach wieczorowych. Domyśliła się,

że to krewni, przyjaciele i partnerzy Jake'a i Harry'ego. Ktoś wspomniał o przyjęciu po zamknięciu klubu. Muszę postarać się wypaść jak najlepiej, przypomniała sobie, czując narastającą treść.

Okazało się to łatwiejsze, niż myślała. Ścisnąwszy ponownie jej dłoń, Jake wszedł na podium i powiedział kilka miłych słów. Zaczerwieniła się, ale potem nie pamiętała, co to było. Po chwili szła w stronę sceny, podczas gdy publiczność witała ją oklaskami.

Przez chwilę czuła się oślepiona reflektorami, ale nie wahała się. Oscar zdecydował, że powinna zacząć od szybkiej piosenki, żeby rozruszać publiczność. Usłyszała pierwsze takty i zaczęła śpiewać, dając z siebie wszystko. Nieśmiałość gdzieś zniknęła.

Na koniec rozległy się burzliwe oklaski.

Annie nie czuła wcale lęku, gdy wzięła mikrofon do ręki i zaczęła mówić o tym, od jak dawna marzyła, żeby śpiewać w klubie, gdzie kiedyś występowała jej matka. Czuła, że publiczność kocha to: sposób, w jaki traktuje słuchaczy, i jej muzykę.

Do tego momentu nie myślała wcale o Jake'u.

Wiedziała, gdzie siedzi: po prawej stronie sceny, razem z siwiejącym mężczyzną, który musiał być jego klientem, i dwojgiem starszych ludzi, zapewne ciotką i wujem. Annie spodziewała się obecności Yolande Carr, ale nie pojawiła się ona w klubie.

Teraz odważyła się zaśpiewać dla niego, odwracając wzrok dopiero wtedy, gdy stało się oczywiste, komu dedykuje wykonywaną piosenkę.

Zakończyła, patrząc na Harry'ego, który siedział z przyjaciółmi przy stoliku po przeciwnej stronie sali. Nie czekając na umilknięcie oklasków, zgodnie z poleceniem Oscara, przeszła do ostatniego numeru: wokalizy.

Rozległy się ogłuszające oklaski, gdy kłaniała się na zakończenie. Ku jej zdumieniu, muzycy też przyłączyli się do aplauzu. Ludzie stłoczyli się przy scenie, ale Jake wyprowadził ją z tłoku i posadził przy swoim stoliku.

Czekano tam na nią z szampanem. Pojawił się Harry, żeby obdarzyć ją braterskim pocałunkiem.

– To było niesamowite, skarbie – powiedziała starsza kobieta, którą przedstawiono jej jako Bethię Jacobsen, ciotkę Jake'a i żonę jego współnika – architekta.

– Jesteś utalentowaną wokalistką, młoda damo. – Ten komplement pochodził od Stephena Morela, klienta Jake'a z St. Petersburga. – Jestem pewny, że nawet

Ella zaaprobowałaaby twoją interpretację ostatniej piosenki.

Annie odruchowo zerknęła na Jake'a. Jego oczy mówiły: „Mamy sobie wiele do powiedzenia, kiedy będziemy sami”. Głośno zaś powiedział:

– To był występ z klasą, aniołku.

Od tej chwili wieczór zmienił się w kalejdoskop muzyki, oklasków i musującego wina, uderzającego do głowy. Między piosenkami, kiedy kwintet grał bez niej lub robił przerwę, Jake zawsze był w pobliżu. Napełniał jej kieliszek, żartował, że wypła już wystarczająco dużo, kładł rękę na oparciu jej krzesła, gdy gestykulował w czasie rozmowy.

Czuła na sobie nieruchome spojrzenie Harry'ego i wiedziała, że zastanawia się, co sprawiło, że stosunki między nimi zmieniły się. W tej chwili jednak to, co myślał Harry, nie miało dla niej znaczenia. Kreci mi się w głowie od szampana, pomyślała, świadoma tego, że błyszczy w towarzystwie i jest bardziej rozmowna niż kiedykolwiek. Prawdę mówiąc, była pijana muzyką, aplauzem, a najbardziej obecnością Jake'a.

Wiedziała, że na scenie daje przedstawienie swego życia. Jej relacja z publicznością była jak romans. Goście prosili o coraz to nowe piosenki i Annie dawała z siebie wszystko. Po raz pierwszy zrozumiała, co to znaczy śpiewać bez zmęczenia, mieszać jazz z bluesem i wokalizami, a potem uspokajając podekscytowaną publiczność nieoczekiwaną niewinnością ballad cajuńskich.

Jej oczy lśniły, policzki płonęły, gdy wreszcie, około trzeciej nad ranem, Jake oznajmił, że klub jest zamknięty i poinformował swoich gości, że za chwilę zacznie się przyjęcie.

Trzymając szklankę wypełnioną colą z rumem w jednej ręce, Oscar wyściskał Annie, gratulując sukcesu, a potem wrócił na podium i zagrał jeszcze kilka melodii. Dołączyli do niego goście, którzy przynieśli własne instrumenty w nadziei na sesję jazzową. Ku zdumieniu Annie, kelner wtoczył kolejny wózek do sali. Strzeliły korki od szampana.

Najpierw Harry, a potem Stephen Morel poprosili ją do tańca. W tym czasie Jake zajął miejsce perkusisty. Z początku tylko akompaniował innym muzykom, ale powoli rytm bębnów zmieniał się. Zauważyła też, że gdy tańczyła z Morelem, Jake uśmiechał się z rozbawieniem i satysfakcją.

Następnie namówiono go, by zagrał solo. Po raz drugi Annie pomyślała o Buddym Richu. Muzyka Jake'a miała te same tony w tle i melodyczne akcenty; to odróżniało wielkiego perkusistę od zwykłego lidera zespołu. Wszyscy przestali tańczyć i Annie mogła patrzeć, jak zgrabnie Jake używa swych rąk. Patrzyła na

niego jak kochanka, starając się zapamiętać na zawsze jego wygląd w rozluźnionym krawacie, rozpiętej koszuli, z kropelkami potu na czole i z wyrazem całkowitej koncentracji na twarzy.

Potem solówka skończyła się. Jake wytarł czoło. Ludzie klaskali, a on uśmiechał się. Jimmy Darnell, perkusista, który akompaniował Annie, poklepał go po plecach i zajął jego miejsce.

Chwilę później Jake pojawił się przy boku Annie. Rzucił marynarkę na krzesło, wziął dziewczynę za rękę i delikatnie przyciągnął do siebie. W jego oczach Annie dostrzegła coś, co zapierało dech w piersiach.

– Czas na nasz taniec, piękna panno Duprez – powiedział cicho i zdecydowanie.  
– Nie obchodzą mnie zasady; dziś się mnie nie pozbędziesz.

## Rozdział 6

Nie zważając na to, że ktoś mógł usłyszeć jego słowa, Jake wziął Annie w ramiona. Zaczęli poruszać się w takt muzyki, tańcząc tak blisko siebie, że mogli czuć swoje oddechy. Oczywiście, Jake był doskonałym tancerzem, co Annie wiedziała od początku. Poruszał się lekko, bez wysiłku i z gracją, prowadząc ją po mistrzowsku i z wyczuciem, z jakim nie spotkała się wcześniej. Jego dłonie, podtrzymujące ją w talii, kierowały każdym jej krokiem, sprawiając, że czuła się uwielbiana i lekka jak piórko, choć była uwięziona w jego ramionach.

Tak bardzo czekałam na szansę objęcia go tak jak teraz, myślała. Czuła zapach Jake'a: mieszankę dymu papierosowego, wody po goleniu i szczególnego zapachu jego skóry.

Musiała przyznać, że jego słowa i zawarta w nich implikacja uruchomiły jej wyobraźnię. Czy naprawdę miał namyśli to, co sobie wyobrażam, zastanawiała się. A może znów zmieni zdanie i powie, żebym odeszła?

Jakby wyczuwając jej niepewność, Jake przytulił ją mocniej. Tym razem po reakcji jego ciała poznała, jak jej pragnie. Oscar, siedzący przy pianinie jak anioł stróż, zaczął grać melodię wolną, zmysłową i pełną uczucia. Była idealna dla mężczyzny i kobiety, tańczących razem, odkrywających rozkosz bycia ze sobą.

Dla mężczyzny i kobiety, którzy się pragną wzajemnie, dokończyła myśl Annie. Pragnęła Jake'a do szaleństwa.

– Annie? – zapytał. W jego głosie zabrzmiała nuta, której znaczenia nietrudno się domyślić.

– Jestem tutaj – odpowiedziała, czując zawrót głowy, zapewne z podniecenia i na skutek wypicia dużej ilości szampana.

Chyba takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Wiem, że jesteś – szepnął, opierając jej prawą dłoń na swojej piersi i obejmując ją mocniej, przytulając policzek do jej włosów. Intuicyjnie wiedziała, że to gest poddania, gotowość do złamania narzuconych sobie zasad, przynajmniej na tę noc, i zapowiedź tego, na co oboje mieli ochotę.

Od tej pory tańczyli tylko ze sobą. Ich tęsknota rosła z każdą solówką na trąbce. Rytmiczny akompaniament bębnow Jimmiego Darnella przypominał bicie serca. Oscar sugestywnie zawieszał muzyczne frazy. Nawet kiedy na chwilę opuszczali parkiet, byli nierozdzielni. Jake trzymał ją mocno i zaborczo za rękę, jakby nie chciał jej puścić nawet na chwilę. Annie wiedziała, że ich zachowanie nie

zostawiało innym pola, do domysłów. Stali się parą. Wszyscy wokół dostrzegali, jak bardzo pożądamy siebie nawzajem.

Wreszcie, około wpół do piątej, mogli pożegnać ostatnich gości.

– Cieszę się, że cię poznałam, Annie – powiedziała z uśmiechem ciotka Jake'a, obrzucając ją zaciekawionym i pełnym aprobaty spojrzeniem. – Może o tym nie wiesz, ale masz wyjątkowy talent, kochanie. Chcielibyśmy razem z mężem zaprosić cię na moje przyjęcie urodzinowe.

Podawała datę i adres, dodając, że dom znajduje się w Garden District.

Annie spojrzała na Jake'a.

– Ciociu, dopilnuję, żeby panna Duprez tam dotarła – obiecał Jake.

Potem wszyscy wyszli, poza Oscarem, Harrym i ich dwójką. Oscar wyłączył światła i mikrofony, pożegnał się i poszedł do domu. Harry z ociąganiem poklepał Jake'a po ramieniu i cmoknął Annie w policzek. Na chwilę spojrzenia dwóch mężczyzn skrzyżowały się, przekazując wiadomość, którą tylko oni rozumieli.

– Jeszcze minutkę – mruknął Jake, gdy Harry wyszedł.

Zostawił Annie na środku ciemnego pomieszczenia. Teraz paliły się tylko światła przy wyjściu. Jake zamknął drzwi na klucz i wziął kasetkę z pieniędzmi.

Zarzuciwszy marynarkę na ramię, podszedł do Annie.

– Gotowa, kochanie? – zapytał z wyraźną treścią, jakby po raz pierwszy zapraszał kobietę do swojego mieszkania.

Annie w milczeniu skinęła głową. Wyprowadził ją na podwórko i zamknął drzwi klubu. Objął ją w talii i znów wspinali się razem po wąskich schodach, tak jak robili to kilka dni temu.

Tym razem to się zdarzy, myślała Annie, drżąc w oczekiwaniu. Dowiem się, jakim jest kochankiem i potem zasnę w jego ramionach.

Oświetlony jedną lampą apartament Jake'a wyglądał inaczej. Jake zdjął marynarkę, schował kasetkę z pieniędzmi i wziął Annie w ramiona. Zdając sobie sprawę z tego, że są sami i może zdarzyć się to, czego oboje pragną, Annie zdjęła buty, objęła Jake'a za szyję i w milczeniu czekała na pieszczotę.

Jej oczekiwanie nie trwało długo.

– Mój Boże, jak bardzo cię pragnąłem – przyznał, pokrywając jej twarz pocałunkami. Później delikatnie zaczął wsuwać język między jej wargi. Jęknęła cicho, gdy zsunął z jej ramion sukienkę.

Chwilę później klęczał u jej stóp, obracając ją lekko do światła, jakby chciał lepiej przyjrzeć się jej piersiom. Potem zapomniawszy o całym świecie, gdy Jake zaczął całować jej biust i pieścić językiem sutki. Annie przenikały słodkie

dreszcze. Gwałtownie przyciągnęła jego głowę bliżej, zapraszając go, a raczej żądając, żeby robił to z jeszcze większym zapałem.

Żaden mężczyzna nie obiecywał jej takich wspaniałości. Przy nim zapomniała o wstydzie. Jake wstał i przesunął ręce z jej piersi na zamek błyskawiczny sukni. Chce, żeby dotykał mnie wszędzie i napełnił mnie wszystkim, co jest w stanie dać, pomyślała.

Lekko westchnęła, gdy z wprawą zsunął jej sukienkę. Czując dumę na widok wzroku, jakim obrzucił jej figurę, przestąpiła leżącą na podłodze suknię i pozwoliła Jake'owi zdjąć jej rajstopy i bieliznę.

– Masz skórę jak atlas – mruknął, przesuwając dłonie po jej nagim ciele.

Ten mężczyzna potrafi rozpalić kobietę, myślała kilka sekund później, gdy znalazł źródło jej pożądania.

– Jake, proszę... – Słowa wydobywały się z trudem z gardła, które zdawało się puchnąć. – Rozbierz się, proszę... pragnę cię..<sup>^</sup>

– Będzie nam wygodniej w łóżku. – Jego głos również drżał z podniecenia. Chwycił ją na rękę i zaczął wnosić po schodach.

Sypialnia pogrążona była w mroku. Jake położył Annie na łóżku, pocałował w usta i odszedł, aby otworzyć okiennice, chroniące łukowate okna. Ponad antycznymi dachami Dzielnicy Francuskiej Annie mogła widzieć światła płonące w kilku wieżowcach. Miała wrażenie, że widzi usiane gwiazdami niebo. Zestawienie nowoczesnej architektury i starych domów było piękne i wzruszające.

W słabym świetle księżycy mogła dostrzec parę szczegółów pokoju: biały, przejrzysty baldachim zawieszony na bambusowych kolumnach, kształt wentylatora na suficie. Jake zbliżył się i przyglądał się jej w milczeniu.

Przez chwilę w jego wzroku widziała jednocześnie żądzę i wahanie.

– Jake? – zapytała, zastanawiając się, co budzi w nim tak przeciwstawne uczucia.

Nie odpowiadając, przesunął palcem od czubka jej nosa poprzez rozchylone wargi, piersi i brzuch do podeszwy stopy.

– Jesteś tak piękna, że patrzenie na ciebie sprawia mi ból – powiedział, potrząsając głową.

– W takim razie nie patrz. – Wyciągnęła do niego ręce. – Rozbierz się.

– Cokolwiek rozkażesz, kochanie.

Uniósł ręce do kołnierzyka koszuli, rozluźnił krawat i rzucił go na podłogę. Wpatrując się w oczy Annie, rozpiął koszulę, demonstrując ciemne włosy, pokrywające jego tors. Annie myślała, że umrze z pragnienia zanurzenia w nie

palców. Chciała mu pomóc, gdy szarpał się z klamrą paska i rozpinał spodnie.

Pod spodem nic nie miał. Wzięła głęboki oddech, przesuwając wzrok z płaskiego brzucha na wąskie biodra, mocne uda i jego męskość.

– Kochanie – szepnęła ochryłym głosem.

– Jeszcze nie. – Położył się obok niej i przylgnął do niej całym ciałem. – Chcę cię zadowolić, maleńka – szepnął, pieszcząc ją dłońmi i ustami. – Doprowadzić cię do szaleństwa.

Annie wiedziała, że nigdy nie zapomni chwil spędzonych w ramionach Jake'a. Ochoczo poddała się jego pieszczotom. Wydawało się jej, że otworzył się przed nią nowy świat, niezwykle i fantastyczny, oferujący ogromną rozkosz. Z finezją, a przede wszystkim z wielką wrażliwością, Jake doprowadził ją do tego, że czując narastającą rozkosz, nie zastanawiała się nad niczym.

Dotrzymał słowa. Używając swego doświadczenia, wzniecał w niej pożar krwi, opóźniając własne zaspokojenie. Annie zatraciła się w pożądaniu, wzmaganym przez podniecające szepty i delikatne pieszczoty. Oddała się cała tej chwili. Zbyt łatwo zapomniała o swym postanowieniu nieliczenia na łut szczęścia i o tym, że później może być trudno odejść, jeśli spróbuje zakazanego owocu.

Zamiast tego otworzyła swe serce i ciało dla Jake'a, oddając mu się bez reszty. Teraz już wiedziała: to on był tym przystojnym mężczyzną, o którym śniła przez wszystkie te lata w Houma, gdy jej ojciec stale powtarzał, że powinna się ustatkować.

To jego głowę pragnęła tulić do swej piersi, jego usta miały wypalać ścieżkę na jej płonącym ciele, doprowadzając ją do krawędzi rozkoszy po to, aby potem wycofać się i przedłużyć upojenia.

Marzyła o tym, by jego umięśnione nogi rozsunęły jej gładkie uda, żądając dostępu, tak jak robiły to teraz. Mimo to jeszcze nie wszedł w nią.

Nagle wpadła w gniew. Chciała go mieć na swoich warunkach, takich samych, jakie on wymusił na niej. Chciała, aby pragnął jej w taki sam sposób, tak desperacko, żeby nie mógł już dłużej czekać. Pozbyła się wstydu i odważyła się dotykać go tak, jak on dotykał jej ciała, pieścić jego męskość i błagać, by stali się jednością.

– Zrób to, aniołku – szepnął ochryple, a w jego głosie brzmiało zaskoczenie i rozkosz – a szybko skończymy.

Annie potrzęsnęła głową\* jej włosy rozsypały się na poduszce.

– Nie obchodzi mnie to – powiedziała głosem zmienionym pod wpływem przeżywanych emocji. – Chcę cię poczuć... chcę, żebyś we mnie wszedł... to nie



musi być ostatni raz, kiedy siebie mamy... dopiero pierwszy...

Jej słowa musiały zabrzmieć zmysłowo. Szepcząc o tym, że jest u kresu wytrzymałości i chce się z nią kochać tak długo, aż oboje padną z wyczerpania, Jake położył się na niej i wszedł w nią. Przez chwilę trwał w bezruchu, walcząc o odzyskanie panowania nad sobą.

Teraz wiem, co to znaczy być częścią wszechświata, pomyślała Annie, gdy w końcu zaczął się poruszać, ponaglając ją, by kołysała się wraz z nim w odwiecznym rytmie. W jakiś sposób zrozumiała, że teraz naprawdę posiada Jake'a i poznaje, jaki on jest.

Prawidłowo przewidział, że nie potrwa to długo. Fala pożądania, która ogarnęła ich ciała, wyniosła ich na szczyty. Niemal równocześnie zadrżeli z rozkoszy.

Jake z jękiem opadł na nią. Jego ciało było ciężkie, a ramiona pokryte gęsią skórą. Przytuliła go z tkliwością. Czuła bolesną satysfakcję, pogrążając ją w słodkim letargu spełnienia. Jake, tak bardzo cię kocham, powtarzała w myślach. Nie chciałam tego i pewnie później będę cierpiała, ale nic na to nie mogę poradzić. Dzisiejszej nocy nie chciałabym się znajdować w żadnym innym miejscu.

Prawdę mówiąc, niedzielny poranek trwał już od kilku godzin. Wschodziło słońce, gdy Annie spała w ramionach Jake'a. Odezwały się dzwony kościelne z oddalonej katedry St. Louis. Kiedy Annie usnęła, Jake zamknął drewniane okiennice i teraz do pokoju wpadały pojedyncze promienie słońca. Obudziła się zdezorientowana. Zauważywszy, że Jake'a nie ma obok, poczuła się tak, jakby coś straciła.

Potem go zobaczyła. Ubrany wyłącznie w szorty khaki, siedział w fotelu, palił papierosa, pił kawę i przyglądał się jej. Dotarł do niej aromat unoszący się ze srebrnego dzbanka, stojącego obok talerzyka przykrytego serwetką. Jake przyniósł jej aksamitną suknię z pokoju gościnnego i powiesił na oparciu krzesła. Rajstopy i bielizna, złożone w kostkę, spoczywały w nogach łóżka.

Już całkowicie rozbudzona wyczuła, że coś jest nie tak. Jake nie poruszył się, nie podszedł i nie wziął jej w ramiona. Uderzyła ją świadomość, że nie będą kochać się rano, po zjedzeniu rogalików i wypiciu kawy. Może nawet nie będzie pocałunku na dzień dobry.

– A więc – powiedział, lekko mrużąc oczy – nareszcie się obudziłaś. Już jest jedenasta, wiesz? Przypuszczam, że zechcesz pożyczyć szlafrok, żeby wstać i wypić kawę.

Jego głos brzmiał obojętnie, tak jakby rozmawiał o interesach; nie mogła się pomylić. Prawdopodobnie Jake przestrzegał konwenansów: podawał kobiecie

śniadanie przed wykopaniem jej za drzwi. On miał rację, a ja nie, pomyślała z rozpaczą. Kochaliśmy się ostatni raz. Powinnam była pozwolić mu przeciągać to w nieskończoność.

– Powiedz coś – ponaglił ją. W jego twarzy drgnął mięsień, ale oczy patrzyły surowo. – Chcesz, żebym podał ci szlafrok, czy wolisz własną suknię?

Jesteś wyjątkowo romantyczny, Jake, pomyślała, czując wstyd i gorycz.

– Nie trudź się – rzuciła, nie mogąc skryć nuty sarkazmu w głosie. – Zawsze jadam śniadania nago.

Otworzył szeroko oczy i błysnęło w nich rozbawienie, którego Annie wolą nie zauważać w tych okolicznościach.

W odpowiedzi usiłowała się roześmiać.

– Żartowałam – powiedziała. – Właściwie byłabym wdzięczna za szlafrok. Ale przed wypiciem kawy chciałabym wziąć prysznic.

Ciepły strumień wody w białej, wyłożonej kafelkami kabinie działał na Annie kojąco. Zrobiłaś, co chciałaś, a teraz musisz za to zapłacić, przypomniała sobie, wycierając się grubym beżowym ręcznikiem. Nic nie szkodzi, że teraz go kochasz. Jesteś dużą dziewczynką, będziesz dla niego pracować i utrzymywać przyjacielskie stosunki. Zeszłej nocy twoje serce wiedziało, że w gruncie rzeczy Jake nie chciał, żeby t o się zdarzyło. Pomogłaś mu stłumić wszelkie opory dzięki własnemu pożądaniu.

Wyszedłszy z łazienki w za dużym szlafroku, zachowywała się obojętnie. Zauważyła, że Jake w tym czasie przyniósł jej rzeczy i położył je na łóżku.

Nie wysilając się na rozmowę, usiadła przy stoliku i poczęstowała się rogalikiem. Zachowam spokój, nawet jeśli miałoby mnie to zabić, pomyślała, obserwując Jake'a, czytającego niedzielną gazetę. Tak szybko, jak to było możliwe, wstała i chciała się pożegnać. W tym momencie coś się zmieniło w postawie Jake'a.

– Annie, zaczekaj – powiedział, wstając i kładąc ręce na jej ramionach. – Powinniśmy porozmawiać...

Nie pragnęła w tej chwili jego dotyku. Odsunęła się, obdarzając go chłodnym uśmiechem. Jeżeli miałeś ochotę na przygodę, to przeżyłeś ją, pomyślała.

– Naprawdę muszę wracać i przebrać się – powiedziała. – Po południu pracuję. Na twarzy Jake'a pojawiło się zdumienie.

– Ale dziś klub jest zamknięty... Jest niedziela... – zaczął.

Choć była rozczarowana i zawstydzona, poczuła lekkie rozbawienie.

– Wiem o tym – odpowiedziała, zbierając rzeczy i kierując się w stronę łazienki. – Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że pracując w klubie nie

zarabiam zbyt wiele. Jestem kelnerką zatrudnioną na pół etatu w barze „Jericho”. – Nie czekając na odpowiedź, zamknęła za sobą drzwi łazienki.

Kiedy się ubrała, Jake zaproponował, że odwiezie ją do domu. Gdy zatrzymali się przed pensjonatem, Annie miała nadzieję, że Jake pocałuje ją na pożegnanie.

– Do zobaczenia w środę wieczorem – powiedziała obojętnym tonem, tracąc nadzieję na pocałunek. – Będę przychodzić rano na próby z Oscarem.

Na twarzy Jake odbiło się zmieszanie, jakby nie wiedział, które z nich zachowało się z większą godnością w tej sytuacji. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wykrztusił tylko:

– W takim razie do widzenia.

Tego dnia przed pracą Annie przeniosła swoje rzeczy do mieszkania Sally. Potem razem poszły do baru.

– W gazecie była recenzja twojego występu – rzuciła Sally, gdy zbliżały się do baru. – Chciałabym, żeby pewnego dnia ktoś tak pochwalił mój śpiew.

– Recenzja? – Annie spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem. – Jake nic mi nie powiedział...

Sally uniosła brwi.

– Zgaduję, że dzisiejszą gazetę czytałaś wspólnie ze swoim szefem – rzuciła szybko.

Annie zaczerwieniła się.

– Niezupełnie – mruknęła, a potem potrząsnęła głową. Dlaczego to ukrywać? – To prawda... spędziłam tę noc z Jakiem – wyznała. – Więcej to się nie zdarzy. Dziś rano przeglądał gazetę, aleja byłam zbyt zajęta tym, co dzieje się między nami... albo raczej co się nie dzieje... żeby myśleć o recenzji. Zastanawiam się, dlaczego mi o niej nie wspomniał.

Sally wzruszyła ramionami.

– Kto wie? – stwierdziła z lekkim uśmiechem. – Może i on zastanawiał się nad waszym związkiem. Zresztą nigdy nie mogłam zrozumieć mężczyzn.

Ku swemu zdumieniu, w barze Annie była traktowana jak ważna osobistość. Klienci, którzy znali treść recenzji, obiecywali wpaść do klubu na przedstawienie. Nawet Bubba, który w najlepszym humorze nie bywał towarzyski, dawał każdemu do zrozumienia, że pracuje u niego słynna piosenkarka.

Praca i pochwały poprawiły Annie nastrój i nie pozwalały myśleć zbyt wiele o Jake'u. Dopiero gdy została sama w sypialni w mieszkaniu Sally, ból spowodowany tym, co się zdarzyło, ogarnął ją bez reszty. Leżąc w łóżku, pragnęła czuć dotyk rąk Jake'a na swym ciele i jego słodkie pocałunki. Tak dobrze było między nimi,

rozpaczała, zraszając łzami poduszkę. Lepiej niż dobrze.

Byłabym ostatnią kobietą, próbującą go usidlić na stałe. Dlaczego więc mnie nie chce?

## Rozdział 7

W środę wieczorem w klubie Annie obserwowwała Jake'a. Prawdę mówiąc, zachowywał się tak, jakby to ona właśnie dała mu kosza. W czasie pierwszej przerwy Harry przyniósł jej colę i odsunął krzesło przy stoliku. Zgadywała, że jako dziennikarz ma ochotę zadać jej mnóstwo pytań. Był jednak zbyt dobrze wychowany i zdawał sobie sprawę, jak skomplikowana stała się sytuacja.

Wiedząc już na pewno, że jej stosunki z szefem będą wyłącznie oficjalne, Annie była zaskoczona, znajdując w czwartek wieczorem kartkę od niego. Zawierała informację: *Harry powiedział mi, że szukasz mężczyzny o nazwisku Harold Dorsey. Sprawdziłem to i wiem, gdzie możesz go znaleźć. Nie powinnaś jednak iść tam sama.*

Poniżej napisał nazwę i adres klubu, którego nie знаła i podpisał się pojedynczą literą „J”. Może nie chce, żebym była jego kochanką, pomyślała, i może ma ku temu powody. Ale myliłam się sądząc, że nic go nie obchodzi.

Nowy ślad do sprawdzenia wywołał w niej podniecenie, tym większe, że raz jeszcze Jake wziął jej sprawy w swoje ręce.

W piątek wieczorem zjawiała się w klubie na długo przed rozpoczęciem przedstawienia. Zostawiła sukienkę w garderobie i ruszyła na wschód, szukając lokalu o nazwie „Loża Trzech Gwiazd”. W końcu znalazła go. Przy wejściu wisiała brudna zasłona, a na oknach znajdowały się zdjęcia nagich kobiet. Nic dziwnego, że nie zauważyłam tego klubu przedtem, pomyślała, zerkając do środka przez uchylone drzwi.

Starszy mężczyzna z okazałym brzuchem i czerwoną twarzą alkoholika zamiatał trotuar przed klubem. Chce zarobić kilka dolarów na następną butelkę, pomyślała z litością i lekkim obrzydzeniem.

– Przepraszam – zaczęła głośno. – Czy wie pan, gdzie mogę znaleźć kierownika?

Mężczyzna obrzucił ją tępym spojrzeniem.

– Jeśli szukasz pracy, możesz zapytać wykidajkę. Brakuje nam jednego „króliczka”. – Używając kilku wybranych określeń anatomicznych w celu opisanie jej zadań jako egzotycznej tancerki, dodał: – Nazywa się Steve. Przyjdzie około szóstej.

– Nie szukam pracy. – Annie cofnęła się nieco, czując kwaśny oddech mężczyzny. – Prawdę mówiąc, szukam Harolda Dorsey'a. On jest kierownikiem

tego klubu, prawda?

Mężczyzna zaśmiał się ironicznie i potrząsnął głową.

– Ja nazywam się Dorsey – powiedział. – Powiniennem panią znać?

Czyżby ten człowiek znał jej matkę i był dla niej tym, kim Jake dla Annie?

– Znał pan moją matkę – wykrztusiła, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Hej, chyba jesteś do niej podobna. – Dorsey zdjął porwaną, brudną czapkę i podrapał się w głowę. Potem obrzucił dziewczynę aprobującym spojrzeniem. – Jak się nazywała?

– Solange Duprez – powiedziała Annie, czując się tak, jakby zdradzała pamięć matki. – Była piosenkarką w klubie „Czerwone Drzwi” w czasach, kiedy pan był tam szefem.

Na twarzy Harolda Dorseya odmalowało się wzruszenie. Potem spochmurniał.

– Francuzica – rzucił zde gustowanym tonem. – Tak, pamiętam ją.

– Jaka była? – zagadnęła Annie z wahaniem. – Wie pan, nigdy jej nie znałam.

– Naprawdę? W takim razie to nie ty jesteś tym bachorem, którego zawsze ze sobą ciągała. Tym, którego ojciec zabrał na mocy nakazu sądu z tego grzesznego miejsca.

– Powiedział pan, że miała dziecko – powiedziała wolno. – Ale ja myślałam...

– Chcesz wiedzieć, co o niej myślałem? – przerwał jej Dorsey. – Dobrze, powiem ci. Była snobką... kimś lepszym niż cała reszta. Miała swoich chłopaków od Garden District aż do Carrollton.

Annie drgnęła, lecz postanowiła pytać dalej.

– Dużo ich było? – zapytała drżącym głosem. Dorsey spojrzał na nią i zdawało się, że wyczytał z jej twarzy, jakiej odpowiedzi nie chce usłyszeć.

– Tak, do diabła – rzucił z satysfakcją. – Co noc miała innego, choć jej mężem był ciągle ten sam biedny facet.

Oczy Annie zaszyły łzami. Odwróciła się i ruszyła szybko przed siebie, potykając się na nierównym trotuarze. Dobry Boże, myślała, to jeszcze gorsze, niż się obawiałam. Nic dziwnego, że Ned o niej nie mówił i nie realizował jej czeków.

Z determinacją po raz kolejny przysięgła sobie, że nie pójdzie w ślady Solange i nie będzie miała męża i dziecka tylko po to, żeby ich porzucić i zrujnować ich życie.

Jakaś godzinę później znalazła się przed klubem. Stała w tłumie, słuchając koncertu grupy, grającej po południu. Dzieci z sąsiedztwa tańczyły na chodniku break-dance. Wszystkie były niewiele starsze niż Dabney Washington. Co by było, gdybym dorastała tutaj, zastanowiła się. Prawdopodobnie byłoby ze mną inaczej

niż z Dabneyem. Oscar jest szczególnym opiekunem.

Za rogiem budynku natknęła się na wnuka Oscara. Chłopiec bawił się samotnie, rysując klasy.

– Co się dzieje, Dabney? – zapytała z uśmiechem. – Myślałam, że po południu idziesz z dziadkiem do parku.

Dabney wzruszył ramionami.

– Dziadek zachorował – wyjaśnił. – To znowu jego woreczek żółciowy. Umiesz grać w klasy?

Annie miała ochotę na chwilę ćwiczeń fizycznych. W bawełnianej koszulce, szortach i tenisówkach wcale nie wyglądała na starszą o całe pokolenie od Dabneya. Przez kwadrans skakała razem z chłopcem, a potem zauważyła zatrzymującego się przy krawężniku małego mercedesa miodowego koloru.

Z samochodu wysiadła Yolande Carr, trzymając w rękach skórzaną teczkę i olbrzymi bukiet azalii. Nie poznała Annie. Weszła po schodach i zastukała do drzwi Jake'a. Miała na sobie spodnie z surowego jedwabiu i bluzkę z krótkim rękawem. Drzwi otworzyły się i potem zamknęły za nią.

Oto przyczyna, dla której nie chciał się więcej ze mną kochać, pomyślała Annie. Pewnie w porównaniu ze wspaniałą panną Carr jestem nuda i niedoświadczona.

Tej nocy wśród publiczności Annie odnalazła znajomą twarz. Przy ostatnim stoliku siedział jej kuzyn, Zenon Trosclair. Obok zajął miejsce starszy, tęgi mężczyzna, którego nie знаła, ale który był podobny do kuzyna.

To Alphonse, pomyślała. Zenonowi udało mu się przyprowadzić ojca na mój występ. Potem przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł: ten groźnie wyglądający mężczyzna był starszym bratem jej matki. Mógł ją dobrze pamiętać i zechcieć podzielić się wspomnieniami.

Pod koniec pierwszej części nie miała pewności, czy będzie mile widziana przy ich stoliku. Gdy zastanawiała się, podjęto za nią decyzję. Zenon przecisnął się przez tłum i ukłonił się jej.

– Widzę, że włożyłaś jedną z tych sukienek, które znaleźliśmy na strychu – powiedział z namysłem. – Wygląda na tobie bardzo ładnie. Tata i ja przyjechaliśmy po południu do miasta w interesach i... namówiłem go, żeby obejrzeć choć fragment twojego występu. Chce cię poznać.

Annie uśmiechnęła się.

– Bardzo bym tego chciała – odpowiedziała.

Gdy podeszła do stolika, Alphonse Trosclair sztywno wstał. Nawet z bliska nie

mogła odnaleźć w jego rysach podobieństwa do Solange.

Zenon przedstawił ich sobie. Alphonse uściskał jej rękę, poprosił o zajęcie miejsca i zapytał:

– Możemy zamówić pani drinka, panno Duprez? Był to okropny moment. Nie chciała pić alkoholu przy swym nie znanym, wyjątkowo konserwatywnym wuju, ale też nie mogła odrzucić jego zaproszenia.

– Proszę nazywać mnie Annie – powiedziała.

– Chętnie napiłabym się coli.

Jej takt i wstrzemięźliwość wywołały na twarzy mężczyzny słaby uśmiech. Spojrzeli na siebie czujnie, ale przyjaźnie, gdy Zenon składał zamówienie. Annie czuła, że Jake obserwuje ją z drugiego końca sali.

– A teraz – powiedział Alphonse, zanim Zenon zdążył przygotować grunt – pozwól, że ci powiem, jak bardzo jesteś podobna do matki. Nawet twój śpiew... może nawet jest lepszy, chociaż oczywiście ja się na tym nie znam.

Annie skromnie spuściła wzrok.

– Dziękuję – powiedziała. – Jesteś bardzo miły, wuju. Kiedy... czy mógłbyś mi powiedzieć, kiedy słyszałeś jej śpiew?

Alphonse uśmiechnął się pod wąsem.

– Wyrwałem się do miasta raz, kiedy tu śpiewała, chociaż ojciec by mnie zabił, gdyby się o tym dowiedział.

– Zachichotał, widząc wyraz twarzy Zenona. – Wiesz co, podobieństwo jest uderzające, ale są i różnice.

– Przerwał, gdy kelner serwował drinki i potem uniósł szklankę w niemym toaście. – Wydaje mi się, że była delikatniejsza niż ty – mruknął, wpatrując się w jej oczy.

– Tak... rybak z Cajun dał ci trochę swego uporu.

Annie uśmiechnęła się, zadowolona, że wspomniał Neda.

– On też tak uważał – potwierdziła. Wuj pokiwał głową.

– Zenon mówił mi, że twój ojciec nie żyje i że przyjechałaś do Nowego Orleanu szukać śladów matki i robić karierę piosenkarki.

Ku jej zdumieniu, w jego głosie nie było potępienia.

– Zenon ma rację – dodał. – W naszej rodzinie za długo trwało oziębienie stosunków. Powiem ci, co wiem, choć rzadko widywałem swoją przyrodnią siostrę po jej odejściu.

– Przyrodnią siostrę? – zapytała Annie, zaskoczona nową informacją. – Nie wiedziałam o tym.



Alphonse wzruszył ramionami.

– Solange była córką drugiej żony mojego ojca, która zmarła przy porodzie – wyjaśnił. – Rozpieszczaną, jeśli chcesz to wiedzieć; tą, która zawsze dostawała wszystko, czego pragnęła.

Skończył drinka, odstawił szklankę na stół i położył obok pieniądze.

– Nie znaczy to, że nie była słodka – dodał, jakby pożałował swojej szczerości.

– Była słodka jak anioł i tak samo niewinna. Jak powiedziałem, mogę ci opowiedzieć, co wiem, ale nie tutaj i nie teraz. Zenon, twoja kuzynka Addie i ja mamy nadzieję, że zechcesz przyjechać do nas w niedzielę na obiad. Jeśli się zgodzisz, Zenon po ciebie przyjedzie.

Annie zastanowiła się szybko. Na szczęście w niedzielę klub był zamknięty, a w barze miała wolne w niedzielę i w poniedziałek. Za to w tym dniu miała być na urodzinach ciotki Jake'a.

Teraz chyba nie jestem tam spodziewana, pomyślała. Jake na pewno po mnie nie przyjdzie.

– Byłabym zachwycona, wujku – odpowiedziała.

– To dobrze.

Zenon odezwał się po raz pierwszy, odkąd usiadła przy ich stoliku:

– Przyjadę po ciebie o dziewiątej, jeśli to nie jest za wcześnie – zaproponował, notując jej adres.

Po ich wyjściu Annie miała jeszcze chwilę czasu przed występem. Chcąc zostać sam na sam ze swoimi myślami, wyszła na podwórko i stanąwszy pod drzewem bananowym, obserwowała podświetloną fontannę.

– Unikałaś mnie – rozległ się niski głos. Oczywiście, był to Jake. Obróciła się w jego stronę.

– Niezupełnie – odrzekła. – Byłam ostatnio raczej zajęta, tak samo jak ty.

W ciemności widziała tylko żarzący się ognik jego papierosa.

– Widziałem, że masz nowych przyjaciół. Kim są ci wielbiciele?

Annie skryła uśmiech.

– To nie twoja sprawa – powiedziała – ale tak się składa, że to moi krewni... dokładniej kuzyn i wuj z Vacherie. Zaproсили mnie na niedzielny obiad na plantację.

Zdziwiło ją, że udzielając tej informacji czuła satysfakcję. Widocznie każdy kontakt z rodziną matki liczył się dla niej bardziej, niż przypuszczała.

Jake zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że miałaś na tyle rozsądku, żeby odmówić. Jesteś zajęta w niedzielę.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciła.

– Owszem, wiesz. O przyjęciu urodzinowym mojej ciotki. Na pewno pamiętasz.

– Prawdę mówiąc, pamiętam, że o tym mówiliśmy, ale nie przypominam sobie, żeby zostało to zaplanowane. W tych okolicznościach...

Jake wykonał niecierpliwy gest.

– Jakich okolicznościach? Był uparty i wiedział o tym.

– Jake, doskonale wiesz, jak jest między nami. Zapadła cisza. Jake wydmuchnął kłęb dymu.

– W takim razie jedziesz do Vacherie – stwierdził.

– Tak – odpowiedziała tonem nie dopuszczającym dyskusji. – Dokładnie tak zamierzam zrobić.

W niedzielę rano, dokładnie tydzień po okropnym śniadaniu w sypialni Jake'a, Zenon pojawił się w mieszkaniu Sally. Nie pasował do tego miejsca.

Mimo to w czasie długiej drogi do Vacherie Annie raz jeszcze uznała go za miłego, niezależnego człowieka obdarzonego taktem i mówiącego z szacunkiem o ojcu.

– Addie boi się tego spotkania – przyznał w pewnym momencie. – W przeszłości słyszała trochę o Solange i o tym, jaka była piękna. Wie, że jesteś do niej podobna. Addie nie jest ładna. Może byłoby najlepiej, gdybyś nie zwracała na nią zbytnej uwagi. Wydaje mi się, że to najlepszy sposób na zdobycie jej przyjaźni.

Po drodze opowiadał jej szczerze o tym, jak w młodości jego ojciec był zazdrosny o Solange. Poradził jej, żeby zadawała pytania ostrożnie i miała świadomość tego, że zazdrość ciągle może jeszcze zniekształcać wspomnienia ojca.

Gdy wjeżdżali na zwirowy podjazd, Annie miała wrażenie, że posiada wiernego sprzymierzeńca. Choć może teraz nie potrzebowała tego. Wchodząc po schodach, przypominała sobie własne obawy przed pierwszą wizytą. Dziś była zaproszonym gościem, prawie członkiem rodziny.

Stara panna, Adelaide – blada, kobieca wersja Zenona – przywitała Annie z nieśmiałą rezerwą i niemal natychmiast zniknęła w kuchni ze służącą Sarah. Zenon i Alphonse oprowadzili ją po terenie, pokazując kilka wzniesionych grobowców, z których jeden krył prochy jej matki.

Później zasiedli przy stole w tradycyjnie umeblowanej jadalni, Annie zachwycała się pieczonymi ostrygami, duszonym kurczakiem i krokietami z grochem do tego stopnia, że Addie czerwieniła się z dumy. Choć rozmowa stawała się coraz luźniejsza, Annie widziała, że Alphonse jest głową tego domu, i starała

się być dla niego miła.

Zdawało się, że woli opowiadać o dzieciństwie Solange i wspominać zabawne historie dotyczące tego, jak lubiła ścigać kaczki lub ściągać ze strychu stroje zmarłej matki i przebierać się w nie. Mówił też, że potrafiła godzinami siedzieć przy pianinie i śpiewać.

– Herve, mój ojciec, chciał ją wydać za plantatora – powiedział, wspominając wreszcie czasy, które najbardziej interesowały Annie. – Małżeństwo było już prawie zaaranżowane, kiedy uciekła z młodym Duprezem. Dziś inaczej się na to patrzy. Może teraz twój dziadek byłby w stanie jej to wybaczyć.

Po południu, wracając z Zenonem do miasta, Annie zrozumiała, że dobrze postąpiła, słuchając rady kuzyna i nie spiesząc się z zadawaniem pytań. Pożegnanie z Addie było o wiele cieplejsze niż powitanie, a Alphonse traktował ją jak delikatną, dobrze wychowaną damę, pomimo jej pochodzenia i zawodu. Po obiedzie znalazł się czas na przejrzenie albumu z rodzinnymi fotografiami.

Z czasem, jeśli będzie cierpliwa, może się wiele dowiedzieć od rodziny. Niezależnie od rezultatu, wydawało się, że stare rany zaczynają się zblizniać.

Zenon zatrzymał się przed jej mieszkaniem na krótko przed piątą. Sally akurat wychodziła.

– Jest dla ciebie wiadomość na sekretarce automatycznej – zawołała. – Od pani Jacobsen. Powiedziała, że jeśli wrócisz na czas, powinnaś przyjść na przyjęcie, nawet jeśli nie zdążysz na kolację.

Annie straciła ponad godzinę, zastanawiając się nad zaproszeniem i co chwila zmieniając zamiar. Wreszcie, zdegustowana, poddała się i wyjęła z szafy srebrnoszarą suknię i żakiet. Wiesz, że chcesz zobaczyć, jak mieszka rodzina Jake'a, wypomniała sobie. Jesteś tak ciekawa, że nie możesz usiedzieć w domu. Tylko nie pozwól sobie na jakiegokolwiek nadzieje, że Jake znów cię do siebie zaprosi.

Oszczędzając pieniądze na taksówkę w drodze powrotnej, Annie wsiadła do tramwaju. Blisko Garden District jej myśli powróciły do Jake'a. Zaczęła siebie przeklinać za to, że nadal jest nim zainteresowana. Nie zapominaj się, upomniała siebie ostro. Będiesz gościem Bethii i Johna Jacobsenów, a nie jego.

Rezydencja Jacobsenów mieściła się w parku, oddalonym o przecnicę od linii tramwajowej. Był to wdzięczny, włoski domek z białego drewna, o czarnych okiennicach. Annie obawiała się, że przychodząc tu, podjęła złą decyzję. Weszła po schodkach i nacisnęła dzwonek.

Otworzyła służąca. Gdy tylko Annie przedstawiła się, zaprowadziła ją prosto do Bethii. Było już po kolacji. Bethia siedziała wśród gości w salonie o wysokim

suficie, pełnym orientalnych dywanów i luster.

– Tak się cieszę, że udało ci się przyjść – przywitała ją ciotka Jake'a. – Właśnie pijemy kawę. Przyłączysz się do nas? Chciałabym, żebyś poznała kilku ludzi.

Po przywitaniu z Johnem, Annie została przedstawiona innym gościom, których nazwisk nie była w stanie spamiętać. Ze zdumieniem zauważyła, że nigdzie nie ma Jake'a.

– Chyba czas rozpakować prezent od Johna – zawołała wesoło przyjaciółka Bethii. – Zapisałaś swoją ostatnią próbę odgadnięcia i włożyłaś do koperty?

Bethia zaśmiała się i przytaknęła, wyjaśniając Annie szeptem, że każdego roku prezenty Johna są coraz bardziej ekstrawaganckie i oryginalne.

– To gwóźdź każdego mojego przyjęcia – dodała. – Ludzie nie chcą tego stracić.

– W takim razie dlaczego niema Jake'a? – zainteresowała się Annie, nienawidząc się za tak idiotyczne zachowanie. – Nie przyszedł na przyjęcie?

Bethia rzuciła jej dziwne spojrzenie.

– Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz. Chodź ze mną na chwilę do kuchni, dobrze? Muszę czegoś dopilnować.

Zaciekawiona Annie ruszyła za nią. Bethia sprawdziła jakiś drobiazg i wyszła na tylny ganek, prowadzący do ogrodu.

– Jake zjadł z nami kolację i myślę, że teraz jest w rozarium, gdzie zaszył się na papierosa. Wiesz, to dla niego trudny czas... jutro minie rok od śmierci Jamie'ego.

Annie zmarszczyła brwi i jej serce ścisnęło się.

– Kim był Jamie? – zapytała. Ciotka Jake'a potrząsnęła głową i spojrzała na ogród.

– Myślę, że mogę ci powiedzieć. Jamie był ośmioletnim synem Jake'a. Zginął razem z matką w katastrofie samochodowej w Houston.

Annie natychmiast poczuła współczucie dla Jake'a.

– Nie wiedziałam... Żona... Bethia westchnęła.

– Jake i Laurelle nie byli małżeństwem... ale to nie z jego winy. Proponował jej ślub, szczególnie wtedy, gdy Jamie był już w drodze. Ona tego nie chciała. Zaraz po porodzie zabrała Jamie'ego do Teksasu, gdzie zaoferowano jej lepszą pracę. Pozwalała jednak Jake'owi zabierać syna na lato. Mały to uwielbiał... kochał składać nam wizyty, bawić się z Dabneyem Washingtonem, być ze swoim tatą.

– A Jake? – szepnęła Annie.

– Kochał chłopca nad życie. Wiadomość o jego śmierci prawie go zabiła.

Annie poczuła na policzkach gorące łzy. Jakie to miało znaczenie, że Jake jej

nie chciał i wolał Yolande? Po swojej reakcji na informacje Bethii była już pewna: kochała go z całego serca.

– Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebym poszła do ogrodu i poszukała go? – spytała cicho.

Bethia uściśnęła ją.

– Nic a nic, kochanie. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to zrobisz.

Nie mając pojęcia, co może mu powiedzieć, Annie ruszyła przez ogród. Znalazła Jake'a, widząc ognik papierosa.

– Cześć – powiedziała.

Z całą pewnością zauważył ją wcześniej.

– Myślałem, że nie przyjdiesz na przyjęcie – rzucił sucho. Jego głos brzmiał nienaturalnie.

– Zmieniłam zamiar.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Annie odezwała się:

– Przykro mi z powodu twojego syna. Dowiedziałam się o nim od twojej ciotki.

– Mój Boże, nie mam pojęcia, dlaczego ci o tym powiedziała. – Odwrócił się do niej plecami i zgniół obcasem niedopałek.

Annie czekała, nie odzywając się.

– Jamie był szczególnym chłopcem – rzucił wreszcie stłumionym głosem. – Inteligentnym, uroczym. W restauracji zamawiał krewetki zamiast, jak inne dzieci, hamburgera; potrafił rozładować niezręczną sytuację, kiedy prosił kelnerkę o wodę sodową z sokiem limonowym, a ona przez pomyłkę przynosiła colę. Kochał sztukę... znał też wszystkie klasyczne standardy jazzowe. Grał trochę na perkusji. Mieszkał ze mną przez lato, więc uczyłem go tego.

Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć mężczyzny, którego kochała, ale nie wiedziała, czy byłoby to właściwe. Zamiast tego powiedziała cicho:

– Wiem o tym od Bethii. Spojrzał na nią ponad ramieniem.

– Powiedziała ci o Laurelle... i o tym, że nie byliśmy małżeństwem?

Annie skinęła głową.

– Ją też kochałem – rzucił, patrząc w dal. – Bardzo. Mówiła, że to nieprawda, że nie kocham jej tak, jak ona potrzebuje. Że gdybym ją kochał, chciałbym, żeby była wolna. Ale to było dawno temu, moje uczucie do niej wygasło. Wciąż nie mogę pogodzić się z utratą syna, nie mogę przestać go kochać. Jamie był częścią mojej duszy...

Głos Jake'a załamał się.

– Jake – powiedziała Annie i nie myśląc o tym, co robi, objęła go. Pod

jedwabną marynarką czuła twarde mięśnie.

– Annie, przestań. – Przesunął dłonią po oczach. – Chyba nie chcesz widzieć, jak płacę?

– Na miłość boską, kochanie, cóż innego możesz zrobić?

Po chwili odwrócił się ku niej i gdy go obejmowała, przytulił policzek do jej włosów. Czuła wilgoć jego gorących, gorzkich łez.

– Wiesz, tak bardzo go kochałem... – Niemal krztusił się słowami. – Wyglądał tak poważnie, kiedy się nad czymś zastanawiał... miał oczy niebieskie, jak ja... po jego sylwetce można było przewidywać, jaki mężczyzna z niego wyrośnie. Nie potrafię ci powiedzieć, jaki był piękny i jak mi drogi...

Przerwał ze łkaniem. Drżąc, przytulił się do niej tak mocno, że omal nie połamał jej żeber. Annie też przywarła do niego, nie wiedząc, jak go pocieszyć, ale chcąc przejąć na siebie jak najwięcej jego bólu.

Po chwili Jake uspokoił się.

– Mówiłem, że zrobię z siebie głupca – rzucił opanowanym głosem, w którym jednak pobrzmiwały emocje.

– Nie zrobiłeś – zaprzeczyła Annie, odgarniając kosmyk włosów z jego czoła. – Wiem, że nie mogę cię pocieszyć tak jak Yolande, ale jeśli moja obecność ci pomaga, to zostanę tak długo, jak zechcesz.

– Yolande? – spytał Jake z niedowierzaniem, marszcząc brwi. – A więc tak myślałaś... Annie, nie sądzę, żebym dał ci podstawy do wierzenia w to, ale poznanie ciebie... kochanie się z tobą... to najlepsze, co mnie spotkało od śmierci Jamie'ego.

## Rozdział 8

Annie spojrzała na niego ze zdumieniem. Czyżby naprawdę tak myślał? Jak mogła tak się pomylić co do jego uczuć?

Jakby wyczuwając niepewność dziewczyny, Jake ujął jej podbródek w dłoń i zajrzał głęboko w szare oczy.

– Powiedz, że pozwolisz mi posiąść cię jeszcze raz – powiedział miękko. – Nawet jeśli zachowywałem się jak głupiec.

Nie zawahała się; chciała wyrazić zgodę natychmiast, z głębi serca. Ciągłe jednak zastanawiała się, dlaczego tydzień temu tak dziwnie się zachował. Czyżby był ostrożny po tym, co zaszło między nim i matką Jamie'ego dawno temu? A może był inny powód, o którym nie miała pojęcia?

– Jesteś pewny, że tego chcesz? – zapytała. – Nawet po tym, jak mnie uwiodłeś, nadal jestem uczciwa.

– A myślisz, słodki aniele, że ja nie byłem uwiedziony, kochając się z tobą?

Pochylił się ku niej i natychmiast poznała prawdę. Ból, jaki czuła w zeszłym tygodniu z powodu rozstania, nie był większy niż jego ból. Mężczyzna, którego chciała zapomnieć, tęsknił za jej dotykiem. Powody jego zachowania na pewno nie wynikały z braku pożądania.

– Jake – szepnęła. – Wiesz, jak bardzo cię pragnę?

– Może potrafię zgadnąć. Pragnąłem cię tak samo, nawet w snach. – Nieoczekiwanie na jego wargach pojawił się lekki uśmiezek. – Myślisz, że możemy stąd wyjść... i znaleźć miejsce, gdzie mogę łązić z kąta w kąt, jeśli zechcę, i czuć się obrzydliwie, dopóki to nie minie?

Annie poczuła ogromną radość. Bez wahania podjęła decyzję. Wiedziała, dokąd go zabierze. Kiedy w dzieciństwie cierpiała z powodu zniewag i krzywd, Ned zabierał ją na bagna. Nauczył ją, jak zapomnieć się w pięknej scenerii i leczyć rany.

– Znam doskonałe miejsce – powiedziała, dziękując w duchu ojcu za to, że był takim mądrym człowiekiem. – Jest tam woda, drzewa cyprysowe i niebo. Ale to daleko... przynajmniej półtorej godziny jazdy. Dopiero rano możemy wynająć łódkę.

Jake nie zastanawiał się.

– Biegnij do domu i weź swoje rzeczy – powiedział. – Mój samochód zaparkowany jest na podwórzu. Za pięć minut będę czekał na ulicy.

Zatrzymali się najpierw przy domu Jake'a, a potem Sally, żeby się przebrać.

Później ruszyli na południowy zachód, w stronę domu, w którym Annie wyrosła i marzyła o kochającym mężczyźnie, takim jak Jake. Patrząc na niego, zastanawiała się, jak będzie wyglądało to miejsce w jego obecności.

Teraz, gdy byli razem, przepełniały ją najczulsze myśli i marzenia. Niestety, dzień był długi i wypełniony przeżyciami. Po dwudziestu minutach głęboko spała.

Jake obudził ją na przedmieściach Houma. Zaczął padać wiosenny deszcz. Annie poprosiła zaspianym głosem, żeby zatrzymał się przed sklepem, gdyż chciała zrobić zakupy. Potem pojechali cichymi ulicami w stronę Bajou Black. Jake zatrzymał się dokładnie w tym miejscu, gdzie jej ojciec zawsze parkował dżipa.

Świadomość tego, że ojciec nigdy już tu nie przyjdzie, uderzyła ją i dziewczyna z trudem powstrzymała łzy.

– Wiesz, co to znaczy kogoś stracić, prawda, aniołku? – zapytał cicho Jake.

Wyraz jego oczu powiedział jej, że nie musi odpowiadać. Uścisnął ją lekko i wzięwszy torby z zakupami, ruszył za nią w stronę domu. Annie otworzyła drzwi i puściła go przodem. Położywszy torby na stole, Jake rozejrzał się po chacie. Spojrzał na czyste chodniczki, na linoleum, starą, półokrągłą lodówkę i zlew.

Deszcz rozpadał się na dobre.

– Chodź tu – powiedział Jake.

Bez wahania padła mu w ramiona. Przez chwilę po prostu ją przytulał, jakby był wdzięczny za to, że była przy nim, gdy dręczyły go wspomnienia. Potem zapytał normalnym tonem;

– Może wrzucę te jajka na patelnię? Nie mogę znieść tego, że nie jadłaś kolacji.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho – ale nie jestem głodna.

– W takim razie chodźmy do łóżka.

Choć napomknął, że tej nocy nie będą się kochać, nie zaproponowała mu osobnego pokoju.

– Tutaj – powiedziała, wprowadzając go do swojej sypialni.

Podwójne łóżko z materacem na sterczących, skrzypiących sprężynach było o połowę mniejsze niż to w mieszkaniu Jake'a.

– Jest tu prysznic? – zapytał, całując ją w czubek nosa i rozbierając bez skrępowania.

Przytaknęła, wskazując mu kierunek. Wpatrywała się w jego ciało, podziwiając mięśnie, ciemne włosy pokrywające jego pierś i długie nogi. Jego syn wyglądałby kiedyś tak jak on, pomyślała z bólem, będąc w stanie zrozumieć przynajmniej częśćkę żalu Jake'a. W tej chwili wydawał się rozluźniony i jakby szczęśliwy. Mimo to wiedziała z doświadczenia na przykładzie swego ojca, jak bardzo skryty



może być zraniony mężczyzna. Wybuch rozpaczy w ogrodzie Bethii nie powtórzy się tak szybko, pomyślała. Trudno spać z nim w jednym łóżku i nie posiadać go.

Kiedy wyszła spod prysznica, Jake leżał już w łóżku. Wyciągnął się na całą długość po stronie, na której zawsze sypiała Annie, palił papierosa i patrzył, jak się wycierała i sięgała po koszulę nocną.

– Nie potrzebujesz tego – rzucił nagle, gasząc papierosa. – Jeśli mamy spać razem, nie musisz wkładać koszuli.

Choć tej nocy nie kochali się, wiązało ich uczucie bardzo przypominające miłość. Spali w swych objęciach i Annie czuła się bezpieczna i kochana.

Tak bardzo cię kocham, Jake, mówiła w myślach, gdy zasnął w jej ramionach. Ale obawiam się, że to nie może długo trwać. Ty nie zaryzykujesz kolejnej utraty bliskiej osoby, a ja nie mogę skazywać się na cierpienie. Nie chcę popełnić błędu mojej matki. Na razie wiem, że niewielu ludzi ma szczęście doświadczyć tego, co ja przy tobie tej nocy.

Nadszedł ranek, a wraz z nim słoneczna, chłodna pogoda. Annie niemal wpadła w panikę, widząc, że Jake znów opuścił łóżko. Zaraz potem wyszedł nago z łazienki i wyznał, że pożyczył jej szczoteczkę do zębów. Wiedziała, że wszystko jest w porządku.

– Wyglądasz jak nimfa wodna, przerażona widokiem śmiertelnika – zauważył, patrząc na nią z błyskiem w oku. – Może odrzucić przykrycie i pozwól mi się podziwiać?

Wolno zrobiła, czego chciał. Czuła, że pod wpływem jego wzroku jej sutki twardnieją.

– Jesteś prześliczna – mruknął, klękając na łóżku, tak że znajdowali teraz naprzeciwko siebie.

Widać było, że i on pożąda jej tak samo gwałtownie. Wplątując palce w jej blond włosy, zbliżył jej usta do swoich i wpił się w nie tak, jakby chciał je posiadać na zawsze.

Mogli sobie pozwolić na zapomnienie o upływie czasu. Mimo to po sposobie, w jaki się pieścili, widać było, że nie może to trwać wiecznie.

Annie zatraciła się w pieszczotach. Nie wiedziała, jak pięknie wyglądają ich ciała splecione razem. W tej chwili mogła tylko czuć narastające pożądanie, gdy dotykał jej piersi, i palący płomień, gdy ujął jej pośladki i przyciągnął do siebie.

– Traciłam głowę z pożądania – wyznała, przesuwając dłońmi po jego plecach i ramionach. – Dzień i noc marzyłam o tym, żeby znów być z tobą.

– Będziesz mnie miała, dziecino, nie bój się. – W jego głosie brzmiało napięcie.

Pociągnął ją na poduszki i jednym agresywnym ruchem rozsunął jej uda.

– Jake – westchnęła, otwierając się dla niego.

– Czas na zabawę przyjdzie później. Teraz nie mogę czekać. Potrzebuję cię.

Nie było słodkiej, wstępnej gry, ale Annie to nie obchodziło. Ona też go pragnęła i fakt, że posiadał ją z taką siłą, doprowadził ją niemal do rozkoszy.

Choć kochał się z mistrzostwem, nad którym z trudem panował, nie musiała długo czekać. Po chwili tulili się do siebie w zapamiętaniu, drząc, podążając ścieżką rozkoszy i wydając okrzyki i westchnienia.

Wreszcie uspokoili się, ale nie chcieli się rozłączyć. Nadal jesteście jednym ciałem, pomyślała Annie.

– Boże, jak cię kocham – szepnął Jake, odgarniając wilgotny kosmyk z jej czoła i całując w usta.

– Ja ciebie też – wyznała spontanicznie. W tej chwili nie myślała o przyszłości.

Obudzili się po dziesiątej. Jake zabrał się do robienia jajecznicy, tostów i kawy na śniadanie, a Annie zaczęła przygotowywać łódkę. Niebawem Jake stał razem z nią przy sterze, ubrany w jeden ze sztormiaków jej ojca. Przepłynęli pod mostem i skierowali się na kanał wiodący prosto na bagna.

– Niezły z ciebie kucharz – powiedziała Annie, mrużąc oczy w słońcu. – Objadłam się.

Wokół jego ust pojawiły się zmarszczki rozbawienia i choć oczy kryły się pod okularami słonecznymi, Annie była pewna, że lśnią uśmiechem.

– Podobno miłość sprawia, że ludzie stają się gwałtowni – odpowiedział.

Annie wzruszyła ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale z całą pewnością sprawiła, że mam wilczy apetyt.

Objął ją ramieniem.

– Dokąd płyniemy? – Musiał podnieść głos, gdyż płynęli szybciej i wiatr zagłuszał słowa.

Uśmiechnęła się, uszczęśliwiona zapachem powietrza, kropelkami wody opadającymi na twarz i obecnością Jake'a.

– Do pewnego tajemniczego, uroczonego miejsca, ogrodu dzikich irysów. To jest stary obóz traperski mojego ojca, gdzie żyją nutrie i bobry. Jest tam jezioro Hatch, gdzie Ned znalazł z imienia wszystkie aligatory.

– Ned?

– Mój ojciec. Tak go nazywałam.

Dzień był prześliczny. Czekały na nich nieskończone obszary wody i nieba.

Zerwał się lekki wiatr, ptaki śpiewały w dolinach na brzegu. Annie kierowała się sobie tylko znanymi przesmykami na bagnach.

W porównaniu z Nowym Orleanem był to zupełnie inny świat. Rosły tu dzikie jagody, pływały żółwie, a woda lśniła jak lustro.

– Jaki to ptak? – zapytał Jake, patrząc przez lornetkę w niebo.

Annie spojrzała w tym kierunku.

– Chyba czapla. Można ją poznać po czarnej głowie i wysokim głosie. Tu jest może z milion gatunków. Dla wielu teraz zaczął się sezon godowy.

– Ale nie dla wszystkich? Potrząsnęła głową.

– Widzisz tę kupę gałęzi i suchej trawy na cyprysie? To gniazdo łysego orła. Odlatują w maju, wracają we wrześniu, składają jajka przed Bożym Narodzeniem. I są jeszcze kaczki...

Zwolniła i poleciła Jake'owi zanurzyć dłoń w zielonkawej substancji, pokrywającej powierzchnię małego baseniku tuż za kanałem.

– To kaczce ziele – powiedziała, kiedy wyciągnął garść małych, lśniących, szmaragdowych roślinek. – Jedna z najmniejszych kwitnących roślin znanych botanikom. Kaczki uważają je za rzadki rarytas. Rzucają się na nie z takim samym apetytem, z jakim ja jadłam twoje wspaniałe śniadanie.

Płynęli przed siebie. Jake wpatrywał się w nią z zamyśleniem.

– Wygląda na to, że znasz te bagna. Wzruszyła ramionami.

– Dorastałam tutaj, a to było całe życie mojego ojca.

– Ale nie twoje? Zastanawiam się, czy na dłuższą metę będziesz szczęśliwa, zamieniając to na miejską egzystencję i karierę piosenkarki.

– Będę szczęśliwa. Wystarczy, że będę mogła przyjeżdżać tu od czasu do czasu, kiedy zapragnę spokoju.

Zwalniając, skręciła między obrośnięte mchem drzewa. Wyłączyła silnik. Płynęli wolno i mieli wrażenie, że są w cyprysowej katedrze, gdzie światło słoneczne przeplatało się z cieniem.

– Spójrz przed siebie, kochanie – szepnęła. – To jeden z ogrodów z irysami, o których ci mówiłam.

Niecałe dwa metry przed nimi, w przesmyku zbyt wąskim dla łódki, rosły egzotyczne niebieskie i fioletowe kwiaty wśród szablanych liści.

– Są przepiękne – westchnął Jake, splatając swe palce z palcami Annie. – Wiem, że to banalne, ale tak czuję. Dobrze, że mnie tu dziś przywiozłaś. To miejsce leczy.

Nie odpowiedziała, tylko przytuliła się do jego ramienia. Przez długą chwilę

stali w milczeniu za sterem, podziwiając tajemniczą kaplicę natury. Woda delikatnie pluskała o burty. Słyszeli cichy chór bagien.

– Pozwól, że opowiem ci więcej o Laurelle – rzucił wreszcie Jake, ściskając jej dłoń i opierając się o popękany skórzany fotel. – Kiedy nawiązaliśmy romans, byłem młody, miałem dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem lat. Była dobrą kobietą, na swój własny sposób... uczciwą, jak pewnie zgadłaś. Myślałem, żeby się z nią ożenić; nalegałem, kiedy się dowiedziałem, że nosi w sobie moje dziecko.

Umilkł, wyjął z paczki papierosa i zapalił go.

– Odmówiła – odezwał się po chwili. – Pracowała na giełdzie i kariera była dla niej najważniejsza. Kiedy urodził się Jamie, dostała ofertę pracy w Houston za znacznie wyższą pensję. Moje życie i moja kariera były związane z tym miastem. Więc zabrała mojego syna do Teksasu. – Znów zamilkł i wpatrzył się w irysy, jakby szukał ukojenia dla starego bólu. – Gdybym mógł to przeżyć jeszcze raz, nie pozwoliłbym na to – dodał szorstko. – Walczyłbym i próbowałbym uzyskać prawo do opieki nad dzieckiem. Ale i tak spędziliśmy miło dużo czasu. Widywałem go tak często, jak mogłem...

Jego ból nie był już tak ostry jak zeszłego dnia, ale Annie wiedziała, że tkwi w nim głęboko.

– Bethia mówiła mi, jak szczęśliwi byliście razem.

– Tak, byliśmy – przyznał i znów zamilkł. Ponieważ nie przejawiał ochoty do rozmowy, Annie zagryzła wargi, uruchomiła motorówkę i wróciła na kanał. Może kocham Jake'a, powiedziała sobie, ale nie jestem właściwą osobą, która mogłaby mu pomóc poradzić sobie ze śmiercią Jamie'ego. Jeśli kiedyś zechce się ożenić i mieć dziecko, które zapełni puste miejsce w jego sercu, to potrzebuje kobiety, na którą może liczyć.

Zamyślona i nagle zasmucona, zwolniła obroty silnika, gdy zbliżali się do starej chaty traperskiej Neda. Stała na małym wzniesieniu. Zbudowana z drewnianych i blaszanych odpadów, zaledwie zasługiwała na miano budynku.

– Mój ojciec od lat dzierżawił to miejsce. Tu polował i łowił ryby – powiedziała Jake'owi. – W tym miesiącu trzeba odnowić umowę. Myślę, że teraz ktoś inny będzie z tego korzystał.

Rzucił jej współczujące spojrzenie.

– Jaki był? – zapytał, źle interpretując smutek w jej głosie.

– Ned? – Spróbowała przypomnieć sobie twarz ojca. – Był spokojnym człowiekiem o staroświeckich poglądach... i kiedy kochał, to na całe życie.

– Tak powinno być. – Jake przerwał. – Nie zrozum mnie źle... nie myślę o

Laurrelle. To, że mnie zostawiła, było w pewnym sensie rozsądne. Miłość, jaką żywiłszy do siebie, nie mogła trwać.

Chcąc dodać Jake'owi nieco otuchy, Annie otrząsnęła się z melancholii.

– Jestem pewna, że masz rację. Ostatecznie nie umierałeś z tęsknoty, mając w odwodzie Yolande Carr.

Jake roześmiał się, zapominając o troskach.

– Aniołku, nie może być, jesteś zazdrosna? Nie dałem ci powodów.

– Naprawdę? Pamiętam, jak tydzień temu dama, o której mówimy, wchodziła po schodach do twego mieszkania, trzymając w ręku bukiet azalii.

Jake uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Byłem pewny, że ją zauważyłaś – odpowiedział. – Widziałem z okna, że przyjechała. Ale to nie to, co myślisz. Przywiozła kilka zdjęć budynku naszego projektu, który zakończyliśmy dla Tulane. Nie zaprzeczam, że przyniosła mi kwiaty, ani że jest mną zainteresowana. Ale już od dłuższego czasu nawet nie pomyślałem o pani Carr; na pewno nie od chwili, gdy spotkałem ciebie.

Annie nie mogła ukryć radości.

– Miło mi to słyszeć – oświadczyła. Wsunąwszy rękę pod jej zakiet, Jake rozpiął guziki bluzki i biustonosz dziewczyny.

– Taka ciepła i cudowna – mruknął, gładząc ją. – Na całym świecie nie mogą istnieć piękniejsze piersi. Myślisz, że możemy wziąć ten stary koc i rozłożyć go tutaj, dopóki masz prawo do tego terenu? A może aligatory będą obgryzać nasze palce?

Choć kochali się zaledwie kilka godzin temu, Annie czuła, że jej ciało znów zaczyna płonąć z pożądania.

– Myślę, że zdecydowanie powinniśmy zaryzykować – odpowiedziała.

Słońce było znacznie niżej, gdy dopłynęli do jeziora Hatch. Tak jak robił ojciec, gdy była dzieckiem, Annie zagwizdała i zaczęła wołać aligatory po imieniu: Babę, Little Huey, Dumpling, Max. Podawała im na kiju kawałki surowego kurczaka, co bardzo bawiło Jake'a.

Chcę zawsze sprawiać mu taką przyjemność, jak dzisiaj, pomyślała. Z ulgą obserwowała, jak rozluźnia się i w jego pięknych oczach pojawia się żywszy blask. Przede wszystkim chcę, żeby był szczęśliwy. Nigdy go nie zranię. Chciałabym, żeby zawsze wszystko układało się jak teraz.

## Rozdział 9

Po powrocie do miasta Annie i Jake przebywali razem niemal przez cały czas. Oficjalnie Annie nadal mieszkała u Sally i co tydzień płaciła połowę rachunków, ale noce spędzała w dużym łóżku Jake'a. Była z nim blisko ciałem i duchem i przerażała ją sama myśl o tym, że mogą kiedyś się rozstać. Chciała przeżyć jasne, wiosenne dni we mgle pożądania i spełnienia, zatracając się w jego miłości i starych piosenkach, które śpiewała w klubie dla rozentuzjasmowanych tłumów.

W natłoku zdarzeń nie zaniebdywała swych poszukiwań informacji o matce. Niestety, brakowało jej nowych śladów i czuła się zawiedziona. Harry sprawdził, co mógł, szukając Marie Arnogne, ale nie wiedzieli nawet, czy ta kobieta jeszcze żyje. Annie pozostało tylko rozpamiętywanie wspomnień Alphonse'a o Solange jako rozpieszczonej dziewczynce, która marzyła o karierze piosenkarki, i Harolda Dorsey'a o płytkiej kobiecie lekkich obyczajów. Biorąc pod uwagę swoje podobieństwo do matki, Annie obawiała się, że kiedyś może popełnić taki błąd jak Solange i skrzywdzić Jake'a.

Choć idea trwałego związku przerażała ją, wydawała się zarazem dziwnie kusząca. Możliwość tego, że gdy Annie go opuści, jej miejsce zajmie inna kobieta i urodzi mu dziecko, które Jake pokocha tak jak Jamie'ego, była zbyt bolesna, żeby o niej myśleć.

Na razie Jake rzadziej przebywał w klubie. Każdą wolną chwilę spędzał albo w biurze projektów, albo w pracowni, którą urządził sobie w mieszkaniu. Annie interesowała się wszystkim, co było ważne dla jej ukochanego. Kiedy pracował w domu, obserwowała ostatnie fazy powstawania planów.

Centrum Floryda miało być olbrzymim, energooszczędnym biurowcem, mieszczącym zespoły bankowe i przemysłowe. Jako lokalizację wybrano zadrzewioną przestrzeń nad Tampa Bay.

– Morel mówił mi, że chce mieć budynek światowej klasy – rzucił kiedyś Jake z satysfakcją znad zarzuconego rysunkami stołu kreślarskiego. – Myślę, że będzie zadowolony z mojego projektu.

W następny piątek Stephen Morel pojawił się osobiście w Nowym Orleanie, żeby wyrazić swoje zdanie. Pod wpływem nalegań Jake'a Annie poprosiła o wolny dzień w barze, żeby móc być obecną w biurze w czasie prezentacji projektu.

– Chcę, żebyś brała udział w całym moim życiu – powiedział jej Jake.

Na początku, siedząc w olbrzymiej sali konferencyjnej, czuła się obco, ale

szybko zaangażowała się w prezentację. Fascynowały ją kompetencja i zapał Jake'a, jak również jego dążenie do perfekcji.

Morel był człowiekiem światowym i dokładnym, a także bogatym i sławnym. Nie ukrywał swego zadowolenia i szacunku dla twórcy.

– Dobra robota z tym projektem, StArnold – powiedział, kiedy Jake zakończył prezentację. – To wszystko, o co mi chodziło, a nawet więcej. Otwórzmy szampana.

Ku zdumieniu Annie, potraktowano to dosłownie. Bez wątpienia Morel miał wcześniejsze doświadczenia z tą firmą. John Jacobsen natychmiast podniósł słuchawkę telefonu i po chwili sekretarka wniosła butelkę i cztery schłodzone lampki. Jake pełnił honory domu, otwierając szampana.

– Pozwolę sobie wygłosić toast – zaproponował Morel.

Jake skinął głową i uśmiechnął się.

– Za Centrum Floryda... oby wyrobiło nam lepszą reputację i przyniosło wszystkim dużo pieniędzy – powiedział Morel, unosząc kieliszek. – I za pannę Annie Duprez, która łaskawie przejawiała zainteresowanie naszym projektem i która dziś wieczorem będzie nam umilać czas swym uroczym głosem.

W spojrzeniu jego orzechowych oczu malował się autentyczny podziw. Nie ukrywał, że dziewczyna podoba mu się, choć Jake był nie tylko jego współnikiem, ale także przyjacielem. Kątem oka dostrzegła, jak John Jacobsen unosi brwi, i czuła, że Jake ocenia sytuację.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie Morel – odrzekła, rzucając spojrzenie Jake'owi. – Niewiele wiem o architekturze, ale jednak chcę dołączyć się do gratulacji i wyrazić Jake'owi podziw za wspaniałą pracę.

Wuj Jake'a spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Jako udziałowiec tej firmy, również ci winszuję – powiedział.

Wypili szampana. Morel obserwował Annie znad krawędzi lampki, jakby chciał się przekonać, czy dziewczyna jest zakochana w Jake'u, i rozważał rzucenie wyzwania współnikowi. Czuła jego wzrok na sobie przez cały czas, nawet gdy jedli kolację w rezydencji Jacobsenów.

Mam nadzieję, że nie posunie się dalej, myślała Annie, gdy Morel patrzył na nią wzrokiem zdobywcy.

– Oczarowałaś mojego klienta – zauważył Jake z uśmiechem, gdy wsiadali do samochodu, żeby pojechać do klubu. – Mam nadzieję, że to uczucie nie jest odwzajemnione.

Z premedytacją położyła rękę na jego udzie, gdy usiadł za kierownicą.

– Wątpię, żebyś tym się przejmował – odrzekła.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stali ciągle na podjeździe i Jake nie przejawiał najmniejszej ochoty do ruszenia z miejsca.

– Masz rację, nie przejmuję się – poinformował ją. – Inne argumenty przemawiają na moją korzyść.

Annie rzuciła mu niewinne spojrzenie, podniecona jego pewnością siebie.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– A może powinienem to zademonstrować? – Pochylił się, pocałował ją w kącik ust i przesunął rękę po jej udzie w górę, – Lepiej zrobię, demonstrując ci to dziś w nocy w domu – dodał. – Na razie musi wystarczyć ci moje słowo.

Jak zwykle jej namiętność okazała się silniejsza.

– Tak, Jake – westchnęła, słabnąc na samą myśl o tym, co z nią robi. – Och, tak. Kochanie, wiesz, że chcę tylko ciebie.

Tej nocy Annie śpiewała z kwintetem, a Jake zabawiał Morela, siedzącego przy stoliku z jego wujostwem. Czuła, że to najlepsze przedstawienie. Przyzwyczyła się do muzyków, a oni do niej, więc śpiewała w naturalny sposób i z wdziękiem.

Za światłami reflektorów publiczność, która kiedyś wydawała się jej morzem obcych twarzy, teraz przypominała grono przyjaciół. Nawet trema, gdy podchodziła do mikrofonu, była zabarwiona radością. Zostało jej tylko tyle obawy i niepewności, by mogła starać się wypaść jak najlepiej.

Wiedziała jednak, że poczucie mistrzostwa tej nocy było czymś więcej niż sumą tych rzeczy. W sposób, którego nie mogłaby opisać, było to częścią jej miłości do Jake'a i jej spełnienia w oddawaniu mu się bez reszty.

Świadomość tego, że inny mężczyzna podziwia ją i zazdrości jej ukochanemu, tylko zwiększała dumę Annie. To gwałtowna miłość do Jake'a rzutowała na sposób interpretacji piosenek.

Po szybkim, rytmicznym standardzie Annie zaśpiewała romantyczną balladę, tylko dla Jake'a. Bez żenady porozumiewała się z nim głosem, spojrzeniem i każdym gestem.

Nie wątpiła, że on to uwielbia. W jego błękitnych oczach pojawił się blask, w kącikach ust drgał mięsień, zapomniany papieros dopalał się w szklanej popielniczce. Kiedy nastąpiła przerwa i Annie podeszła do jego stolika, wstał i wziął ją w ramiona.

– Anioł jazzu! – szepnął i pocałował ją. – Tak bardzo cię kocham.

Stephen Morel i John Jacobsen wstali z miejsc, a Bethia uśmiechnęła się. John uścisnął jej rękę, zaś Morel pocałował ją w policzek.



– Annie, chciałbym ci coś zaproponować – powiedział chwilę później, gdy Jake i jego wujostwo byli zajęci rozmową z kimś, kto podszedł do ich stolika.

Kiedy nie odpowiedziała, mimo wszystko ciągnął dalej:

– Kilka firm w St. Petersburgu, w tym moja, organizują co roku piknik i koncert na świeżym powietrzu nad rzeką, w Straub Park. Będzie koncert symfoniczny, ale jest to impreza popularna. Na ten rok zaplanowaliśmy muzykę z lat czterdziestych, chociaż w finale będzie tradycyjna uwertura z tysiąc osiemset dwunastego, razem z salwami armatnimi i fajerwerkami. Na Florydzie jest teraz pięknie. Byłbym zachwycony, gdybyś zgodziła się wziąć udział w przedstawieniu jako solistka. Oczywiście pokryjemy wszystkie koszty i będziesz miała do dyspozycji apartament w mojej posiadłości. Jestem pewien, że nie muszę tego dodawać, ale... honorarium też nie będzie niskie.

Annie wysłuchała go i energicznie potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale nie – odpowiedziała bez wahania. – Pochlebia mi fakt, że pan mnie chce zaangażować. Jake mówił mi, że zna się pan na jazzie. Ale jestem związana tu kontraktem... poza tym naprawdę nie chcę w tej chwili wyjeżdżać.

Morel wzruszył ramionami, uśmiechając się cierpliwie i z wyrozumiałością.

– Naturalnie nie jestem ślepy i widzę, co dzieje się między tobą i St. Arnoldem – powiedział. – Mimo to mam nadzieję, że przemyślisz to. Poczekam jeszcze tydzień. Potem będziemy musieli podpisać z kimś kontrakt. Dla ciebie to też byłoby korzystne. Poza tym mam wiele kontaktów, które mogłyby okazać się użyteczne w twojej dalszej karierze.

Następnego dnia Jake i Annie wieźli Oscara do szpitala. W nocy jego woreczek żółciowy nie dawał mu spokoju i tym razem zdawało się, że operacja okaże się konieczna. Annie obawiała się o jego zdrowie.

Kiedy odwiedzili Oscara po południu, okazało się, że nie ma już mdłości, a ból zelżał. Mimo to nie czuł się najlepiej z kroplówką podłączoną do ręki i sondą wystającą z nosa.

– Po co tu przyszedłaś, Annie? – zapytał, potrząsając z dezaprobatą siwą głową. – Dziś wcale nie wyglądam jak twój mistrz i nauczyciel.

Annie uśmiechnęła się, słysząc słowa, których sama użyła kilka dni temu.

– Dla mnie zawsze jesteś mistrzem – zapewniła go z czułością. – Kiedy stąd wyjdiesz? Możemy coś dla ciebie zrobić?

Oscar westchnął.

– Pewnie zostanę tu jakiś czas. Jeśli chcecie mi pomóc, zaglądnijcie od czasu do czasu do Dabneya. Nigdy przedtem nie zostawał sam.

– Poprosiłem już Jimmy'ego Darnella, żeby przez kilka dni nocował u ciebie w domu – zapewnił go Jake.

– Sam też będę miał chłopca na oku. Nie martw się o niego i staraj się wyzdrowieć. „Raj Utracony” naprawdę jest stracony bez ciebie.

Dwa dni później, w samo południe, Annie zobaczyła Dabneya na ulicy. Rysował coś kredą na trotuarze. W tej chwili powinien być w szkole. Zaczęła z nim rozmowę.

– Narysowałeś niezły portret Michaela Jacksona – powiedziała, przekrzywiając głowę i wpatrując się w obrazek. – Ale nie sądzę, żebyś został sławnym artystą. Szkoda.

Dabney niewątpliwie oczekiwał kazania. Słyszając jej słowa, spojrział na nią z zaniepokojeniem.

– Dlaczego? Mój dziadek mówi, że mogę zostać, kim zechcę.

Annie wzruszyła ramionami.

– Możesz. A raczej mógłbyś, gdybyś chodził do szkoły i zdobył wykształcenie.

Dabney wsadził ręce do kieszeni i skrzywił się.

– Wiedziałem, że powiesz coś takiego – przyznał.

– Przeważnie chodzę do szkoły, ale dzisiaj nie mogę. Nie mam kogo zabrać na lekcję panny Ettington o Dniu Pracy.

Po kilku pytaniach okazało się, że w klasie chłopca wszyscy uczniowie po kolei zapraszają członków swojej rodziny, żeby przyszli i opowiedzieli o swojej pracy. Dziś była kolej Dabneya, który zaprosił Oscara. Niestety, dziadek był chory i leżał w szpitalu.

– Powiem panie Ettington, że źle się czułem – wyjaśnił. – Nie mam innej rodziny... tylko jego.

– No tak, ale masz przyjaciół – powiedziała Annie wolno, patrząc na niego zagadkowo.

– Pana Jake'a?

– Tak. I...?

– I ciebie? Skinęła głową.

– Czy to znaczy, że pójdziesz ze mną? – Brązowe oczy Dabneya zapłonęły entuzjazmem. – Naprawdę porozmawiasz z moją klasą?

– Skoro mnie zapraszasz, chętnie to zrobię – powiedziała Annie.

Szkoła Dabneya mieściła się w pobliżu klubu. Staroświecki, piętrowy budynek koloru chińskiego rózu stał za brudnym boiskiem w cieniu olbrzymich magnolii. Annie jako nauczycielka z zainteresowaniem zauważyła, że pracownicy dbają o

szkolę i wykazali wiele inicjatywy. Ogródek znajdował się na oddzielnym terenie i rosły w nim warzywa i kwiaty: nagietki przeplatały się z melonami, bratki z cebulą, marchewka i groszek ze stokrotkami. Ręcznie wypisane hasła głosiły: *Rośniemy w miłości* i *Dzieci są naszym największym skarbem*.

Klasa Dabney a wyglądała tak, jak wyobrażała sobie Annie. Panna Ettington przedstawiła ją i po chwili Annie siedziała na krawędzi biurka, opowiadając trzydziściorgu dzieciom o szeroko otwartych oczach jak to jest, gdy pracuje się jako piosenkarka w kabarecie. Dabney, siedzący w pierwszym rzędzie, pękał z dumy.

Na koniec Annie odpowiadała na pytania. Wreszcie panna Ettington, rudowłosa i piegowata kobieta mniej więcej w wieku Annie, zachęciła uczniów do owacji. Annie usłyszała głośne brawa. Żaden dziewięciolatek nie zdobyłby się na taki aplauz. Zaskoczona, zwróciła się w stronę drzwi.

Stał tam Jake, uśmiechając się z aprobatą. Wtedy akurat zadzwonił dzwonek.

– Ja też znam Dabneya – zwrócił się do zaskoczonych uczniów. – Przyszedłem zabrać jego i uroczą wykładownicę, jeśli to już koniec lekcji na dzisiaj.

– Skąd wiedziałeś, gdzie nas znajdziesz? – spytała Annie kilka minut później, gdy szli w stronę rzeki, żeby kupić Dabneyowi obiecane lody.

– Jeden z kierowców, Joe, widział was razem. – Splótł palce z jej palcami, kiedy Dabney pobiegł przodem. – To miłe, co zrobiłaś dla chłopca – powiedział ciepło. – Że poszłaś z nim do szkoły.

Annie, skrzepowana, wzruszyła ramionami.

– To był drobiazg – powiedziała.

– Ale nie każdy by tak postąpił. Kiedy zobaczyłem cię przed klasą, mogłem wyobrazić sobie siebie jako nauczycielkę.

Nie odpowiedziała. To już jest przeszłość, pomyślała.

– Pomaga mi to też wyobrazić sobie siebie w innej roli – ciągnął.

Zatrzymali się na rogu Royal Street.

– Nie zapytasz, co mam na myśli? – spytał.

Tak go kocham, myślała Annie, patrząc w jego oczy okolone ciemnymi rzęsami. Jego mocne dłonie sprawiały, że czuła się bezpieczna i kochana. Dzięki niemu mój świat jest piękniejszy, przyznała. Jego towarzystwo i uwaga, jaką mi poświęca, sprawia, że cieszę się, że żyję. Mimo to nie była pewna, czy chce usłyszeć, co Jake ma na myśli.

– Mogę wyobrazić sobie siebie z dzieckiem – ciągnął, potwierdzając jej obawy.

– Kochając dziecko. I nie chodzi mi o bezradnego niemowlaka. Raczej o

dzieciaka w wieku Dabneya.

Albo Jamie'ego, dodała w myślach. Tych dwoje było przyjaciółmi i bawiło się razem. Gdyby twój syn żył, a ty wywalczyłyś prawo do opieki nad nim, prawdopodobnie byłby dziś w klasie Dabneya. Nic nie możesz na to poradzić, ciągle o tym myślisz.

– Nigdy nie myślałam o posiadaniu dzieci – rzuciła, wiedząc, iż nie zabrzmiało to miło. Musiał być przekonany, że powiedziała prawdę.

– Ja też nie, dopóki mnie to nie spotkało – odpowiedział, gdy przechodzili przez ulicę. – Ale teraz myślę, że w odpowiednich warunkach zapragnąłbym pojawienia się mego spadkobiercy.

Dabney podskakiwał koło wózka z lodami, czekając na nich. Jego paplanina i zachwalanie smaku czekolady, pralinek i rodzynek z rumem dały Annie czas na opanowanie się.

Może była głupia, ale słowa Jake'a o celowym zaplanowaniu dziecka sprawiły, że prawie osłabła z tęsknoty. Zobaczyła oczyma wyobraźni ich dwójkę, jak się kochają, myśląc o dziecku. Wyobraziła sobie siebie z obrączką na palcu, noszącą pod sercem dziecko Jake'a. Wyobraziła sobie, jak bardzo Jake kochałby synka lub córeczkę, dziecko, które ukoiłoby ból po stracie Jamie'ego, , – Jakie chcesz lody, kochanie?

Annie zauważyła, że Jake zadał to pytanie z pobłażliwym rozbawieniem, jakby dobrze znał odpowiedź.

– Och... chyba cytrynowe.

Przeklinała siebie za to, że tak drżał jej głos. Będę zgubiona, jeśli szybko nie zmienimy tematu, pomyślała. Moje emocje i instynkt macierzyński zdradzą mnie. Ale jeśli się poddam, choćby w marzeniach, to będzie to błąd. Ostatecznie jestem córką mojej matki, a nie aniołem, w co on wierzy.

Z lodami w rękach przeszli obok artystów prezentujących prace na metalowym płocie wokół Jackson Square. Minęli furtkę, podziwiając pomnik bohatera Nowego Orleanu, nadal, po tylu latach, dumnie chroniącego miasto przed Brytyjczykami.

Na scenie pod drzewami grał zespół jazzowy i przyciągnął zaciekawiony tłum. Gołębie latały nisko, mając nadzieję na okruchy chleba. Po drugiej stronie parku zebrał się zespół perkusyjny. W powietrzu rozległ się gwizd parowca.

– Chodźcie, panie Jake'u, panno Annie – Dabney szarpał ich za ręce. – To odpływa „Robert Lee”. Pospieszmy się, to go zobaczymy.

Jake poklepał chłopca po ramieniu.

– Biegnij, Dabney – rzucił z uśmiechem. – Biegasz szybciej niż my. Zaraz do

ciebie dołączymy.

– Dobrze.

Chłopiec pobiegł ile sił w krótkich nogach, przeciskając się przez tłum z wprawą dziecka wychowanego w mieście. Chwilę później minął fontannę i wbiegł po schodach słynnego Moon Walk – promenady z widokiem na rzekę.

Jake wsunął rękę pod ramię Annie.

– Chciałem na chwilę zostać sam na sam z moją dziewczyną – powiedział, dotykając palcem jej podbródka i nakłaniając, żeby spojrzała mu w oczy. – Pocałować ją i dowiedzieć się, dlaczego nagle stała się taka milcząca.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Annie patrzyła na niego, a jej twarz wyrażała mieszane uczucia.

– Dalej milczysz, tak? – Pochylił się i obsypał ją pocałunkami, które sprawiły, że poczuła się bezbronna.

– Nie możesz spodziewać się, że nie wykorzystam cię, kiedy tak na mnie patrzysz – powiedział wreszcie. – Właściwie żadne z nas nie pracuje dziś wieczorem. Chodźmy popatrzeć na ten parowiec, a kiedy będziesz w dobrym nastroju, zabiorę cię do domu i udowodnię, jaka jesteś pociągająca.

## Rozdział 10

Kochanie się po południu w mieszkaniu Jake'a stało się czymś regularnym w życiu Annie. Kiedy w ciągu dnia oboje mieli czas wolny – Annie z pracy w barze, Jake z biura projektów – szli na górę w milczącym porozumieniu.

Zrzucając buty i rozpinając ubrania celowo nie dotykali się, czasem tylko, jakby niechcący, muskali się ramionami, udami czy biodrami.

Aby przedłużyć chwile oczekiwania, pieścili się spojrzeniami. Zwykle Jake przygotowywał coś do picia, mrożoną herbatę albo, jeśli było po trzeciej, coś mocniejszego, Annie szła wtedy za nim bosą do kuchni i opierając się o blat z różowego marmuru, przyglądała się, jak wyjmuje lód i schłodzone szklanki z lodówki.

Czasem zaczynali grę już w kuchni. Jake starał się nakłonić ją do zdjęcia bielizny, a ona udawała opór lub chwytła kostkę lodu i nieoczekiwanie przesuwiała nią po jego ramieniu. Wtedy podskakiwał, zaskoczony, i przyciskał ją do blatu dokładnie w taki sposób, w jaki chciała.

Popijając drinki, zaczynali się całować, z początku wolno, potem coraz gwałtowniej. Stopniowo pocałunki stawały się mocniejsze i namiętniejsze, a pieszczoty bardziej prowokacyjne i otwarte. Odstawiając szklanki, koncentrowali się na rozbudzaniu w sobie pożądania.

Jeśli Jake miał ochotę być agresorem, mógł uprzeć się i zatrzymać ją w kuchni, doprowadzając dziewczynę kilkakrotnie do szczytu rozkoszy, zanim brał ją ramiona i niósł do sypialni. Kiedy była jej kolej, a on chciał być pasywny i adorowany, mogła opaść na kolana w kuchni wyłożonej płytkami i dać mu taką samą rozkosz.

Koniec zawsze był taki sam: w łóżku, pod baldachimem, dążyli do wyrwania bogom najsubtelniejszej nagrody śmiertelnych, tajemniczego i ożywiającego duszę kielicha komunii dwojga kochanków.

Później leżeli przytuleni, odpływając na godzinę lub dwie w krainę snu. Jeśli wieczorem pracowali, w klubie wymieniali między sobą spojrzenia pełne tego, co wydarzyło się po południu.

„Jesteś moja”, przypominały Annie niebieskie oczy Jake'a, wpatrzone w nią z drugiego końca sali. „Tak”, odpowiadały szare. „I kocham uczucie bycia z tobą”.

To popołudnie było inne. Annie natychmiast wyczuła zmianę, gdy weszli do mieszkania i Jake zamknął drzwi. W powietrzu wyczuwało się napięcie. W oczach

Jake'a dziewczyna dostrzegła coś, co bała się odczytać, tak jak wcześniej bała się dowiedzieć, o czym myślał.

Nie od razu ujawnił swe myśli. Zamiast tego położył ręce na jej ramionach i spojrzał na nią badawczo.

– Wiesz, że jesteś dla mnie kimś szczególnym? – zapytał po chwili. – Jak ważna jesteś w moim życiu?

Nie umiała znaleźć właściwej odpowiedzi. Och, Jake, błagała go w myślach. Nie ryzykuj. Proszę cię, kochanie... pozwól, żeby wszystko zostało jak dawniej...

Potrząsając lekko głową, pochylił się i zaczął całować jej włosy, nos, powieki i w tym samym czasie nakrył dłońmi jej piersi.

– Taka nieuchwytna – szepnął. – Ciągle daleka, choć byliśmy tak blisko. Czy wiesz, jak bardzo chcę cię mieć naprawdę, zmusić cię do powierzenia mi wszystkich sekretów?

Sposób, w jaki ją dotykał, masując kciukami jej sutki poprzez cienki materiał bluzki, sprawiał, że czuła się dojrzała i przepelniona tęsknotą. Niemal instynktownie przylgnęła do niego.

W ułamku sekundy jestem podniecona, przyznała Annie, nie słysząc już jego słów, zagubiona we własnym pożądaniu. Może powinnam odsunąć się i odejść stąd i z jego życia, zanim unieszczęśliwię go na dobre. Ale kiedy tak się zachowuje, nic nie mogę zrobić. Jestem niewolnicą własnych uczuć.

Z cichym westchnieniem, jakby czuł się pokonany przez jej reakcję i milczenie, Jake zaniósł ją na górę do łóżka. Mimo to wiedziała, że jeszcze się nie poddał. Rozebrał najpierw ją, a potem sam zrzucił ubranie.

Stojąc z włosami opadającymi na czoło, Annie obserwowała go z zapartym tchem. Tego dnia w oczach Jake płonęła determinacja i błękitny płomień, który kochała, a którego nie widziała nawet w najintymniejszych momentach. Coś się zmieniło między nimi, pomyślała, i boję się tego. Ale nie mogę mu się oprzeć.

Pokrywając jej ciało pocałunkami, Jake położył ją na łóżku i nakrył swoim ciałem.

– Naprawdę miałem na myśli to, co powiedziałem podczas spaceru – rzucił, delikatnie rozsuwając jej nogi. – Nie udawaj, że nie rozumiesz. Musiałabyś być ślepa, głucha i tępa, żeby nie zauważyć, co do ciebie czuję, i nie zgadywać, jak bardzo zapaliłem się do myśli, że pewnego dnia mogę mieć z tobą dziecko...

– Jake, proszę! – Słowa wyrwały się jej, choć gdzieś w głębi duszy poczuła po raz pierwszy tęsknotę za macierzyństwem. – Wiem, czego chcesz, i dlatego sama zaczynam tego chcieć. Ale nie wolno mi... Kochanie, nie jestem na to gotowa.

Może nigdy nie będę.

– Może nie, ale i tak nic nie mogę poradzić na moje pragnienia.

Przycisnął wargi do jej ust, tłumiąc odpowiedź. Z premedytacją zaczął jej demonstrować swym ciałem to, czego nie chciała wysłuchać. Zaczęła wyobrazać sobie, jak by to było, gdyby poddała mu się całkowicie.

Poruszał się tak samo, jak grał na perkusji: narzucał rytm, pozwalał emocjom na chwile zawieszenia, a potem zagłębiał się w nią, aż poczuła, że wzięła ją całą. Nigdy przedtem nie osiągnęli razem takiego szczytu.

Boże, dopomóż mi, myślała na sekundę przedtem, nim zapadła się w ekstazę. Przecież chcę mieć jego dziecko i zatrzymać go na zawsze.

Powrócił rozsądek, a wraz z nim melancholijna cisza. Jake leżał, oparty o poduszkę, palił papierosa i wpatrywał się w zawieszony pod sufitem wentylator. Zachowuje się tak, jakby czekał na odpowiedź, pomyślała Annie, Ukryła twarz w poduszce i zamknęła oczy. Zupełnie jakby wierzył, że kochanie się wpłynęło na zmianę mojej decyzji.

Pomimo dystansu, jaki wyczuwała między nimi po raz pierwszy od powrotu z bagien, udało jej się zapaść w niespokojny sen. Kiedy się obudziła, było znacznie później; światło wpadające przez drewniane żaluzje było rozproszone. Jake, siedzący nago w skórzanym fotelu, odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

Przeciągając się, wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Teraz, kiedy Morel zatwierdził ostateczne plany i wiemy, że zarobimy na tym, chcę to uczcić – powiedział z błyskiem w oczach. – Pomyślałem, że możemy wydać część profitów dziś wieczorem... na prawdziwy kreolski obiad w mojej ulubionej restauracji.

Wzięli razem prysznic i przywróciło to w pewnym stopniu bliskość, jaką utracili. Jake nie był już melancholijny, a wręcz przeciwnie – uczuciowy i troskliwy, jakby uparł się, że ją udobrucha. Czowała, że doszedł do jakichś wniosków i stworzył plan, którego na razie nie chciał ujawnić.

Zapadał zmierzch, gdy wkraczali do stylowej restauracji Arnauda. Jake zarezerwował telefonicznie stolik, kiedy spała. Wyglądał bardzo elegancko w śnieżnobiałej koszuli, ciemnoszarym garniturze i krawacie. Recepcjonista powitał go ciepło i z szacunkiem, zapewniając, że stolik czeka.

– Dziś pańskim kelnerem będzie Robert – powiedział, wymawiając to imię z francuskim akcentem, i poprowadził ich do oddalonego stolika przy oknie. Odsunął krzesło dla Annie. – *Bon appetit* – dodał. – Mam nadzieję, że posiłek będzie państwu smakował.



Rozejrzawszy się wokół, Annie była zadowolona, że nałożyła swą najbardziej elegancką suknię na cienkich ramiączkach. Arnaud to elegancka restauracja. Klienci byli najwyraźniej bogaci i w większości dobrze ubrani. Kelnerzy w czarnych smokingach i koszulach z gorsem poruszali się zręcznie po sali. Nawet pomywacze ubrani byli w liberię z mosiężnymi guzikami, lśnącymi jak orderzy na ich piersiach.

Proste stoły, przykryte białymi obrusami, stały wokół dwóch rzędów strzelistych, korynckich kolumn. Udekorowane były żółtymi stokrotkami i małymi piramidami złożonych serwetek. Z sufitu zwieszały się kryształowe kandelabry, dając ilość światła wystarczającą, aby podziwiać kolor i smak potraw. Wentylatory poruszały się wolno, powodując drżenie liści palm i w sposób dyskretny zagłuszając cichy szmer rozmów.

Annie spostrzegła, że mężczyzna i dwie kobiety, siedzący przy odległym stoliku, uśmiechnęli się i pozdrowili ich, podczas gdy inna kobieta, bardzo piękna, ukłoniła się Jake'owi z nie skrywaną rezerwą. Była brunetką, przypominającą nieco Yolande Carr. Siedziała przy stole ze starszym mężczyzną. Obserwowała Annie z pełną zazdrości ciekawością.

Jake, siedzący pod portretami przedstawiającymi założycieli restauracji i ich rodziny, wyglądał bardziej niż kiedykolwiek na potomka Kreolów. Wydawało się, że czuje się swojsko w otoczeniu, gdzie jedzenie i picie traktuje się poważnie, lecz odrobina nonszalancji również jest doceniana.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy kelner podał mu menu, jakby to był zwój cennego papirusu, wręczany rzymskiemu senatorowi.

– Uśmiechnij się, Annie – zwrócił się do niej. W jego oczach nie było już śladu uprzednich wahań. – To urocza, światowa gra. Najlepiej potraktować wszystko lekko i cieszyć się urokiem tego miejsca. Obsługa jest tu bez zarzutu, ale nie ma snobizmu. Nie podaje się nawet talerzy do chleba z masłem. W kreolskiej tradycji przyjęte jest, że gość zostawia okruchy na serwecie. Jeśli tego nie zrobisz, kelner i tak strzeplenie wyimaginowane.

Na jej prośbę zamówił dla nich obojga różne potrawy. Umówili się, że będą zamieniać talerze.

Ponieważ byli kochankami, właściwie jedną osobą, jak dodał, powinni się dzielić.

– W ten sposób poznasz wiele wyszukanych smaków – powiedział. – Zaufaj intuicji smakosza. Chcę, żebyś siedziała i pozwoliła sobie usługiwać.

Tego wieczoru dla Jake'a najważniejsze były przyjemności życia, Kiedy nalano

im wino, opowiedział jej w skrócie historię restauracji.

– Ma bogatą przeszłość – powiedział. – Na górze są sale jadalne, zamykane od wewnątrz, żeby zapewnić gościom maksymalną prywatność. Trudno wyobrazić sobie, co mogło się tam dziać dawniej.

Przyniesiono przystawki – ostrygi – i Annie odkryła, że umiera z głodu.

Gdy kelner ponownie napełnił kieliszki białym winem, Jake przeszedł do sedna sprawy.

– Takie miejsca jak to nadają życiu sens – powiedział, unosząc kieliszek w toaście. – Są częścią równoważenia przyjemności i satysfakcjonującej pracy.

W trakcie posiłku mówił więcej o równowadze: o swojej miłości do jazzu z jednej strony i pracy architekta z drugiej. Porównywał życie w mieście z tym, co odkrył w dzikiej okolicy, gdzie dorastała Annie.

– Teraz, kiedy poznałem piękno bagien, nie sądzę, że mógłbym być szczęśliwy, prowadząc wyłącznie życie mieszczaucha – powiedział, wycierając usta serwetką. – Chcę tam wracać co jakiś czas i odnajdywać spokój, o którym mówiłaś.

W połowie obiadu zamówił drugą butelkę wina. Kieliszek Annie był napełniany cały czas. Po zakończeniu obiadu i zamówieniu kawy Annie czuła się zrelaksowana i prawie oczarowana słowami Jake'a.

Zapadła noc i przez matowe szyby wpadało światło latarni. W restauracji słychać było głośniejsze rozmowy. Mimo to Annie miała wrażenie, że są na wyspie, sami, tam gdzie nikt nie może ich znaleźć.

– Zawsze uważałem, że równowaga jest ważną rzeczą – mówił Jake głębkim, spokojnym głosem, ujmując jej obie dłonie. – Czasem tylko zapominam, jak wyznaczyć pierwszeństwo rzeczom, aby ją osiągnąć... Robić to, co jest najważniejsze, ale pamiętać o innych ważnych rzeczach w życiu. Pewnie, jak większość ludzi, staram się unikać zmian i ryzyka, jakie za sobą pociągają. Zanim pojawiłaś się w moim życiu, myślałem, że wypracowałem sobie satysfakcjonujący kompromis. Kochałem już kiedyś kogoś, dlatego nie chciałem wiązać się z nikim, kogo strata bardzo by mnie zabolowała. Dbając o swoje bezpieczeństwo, skazałem się na życie bez zobowiązań, gdzie brakowało przyjemności kochania...

Przerwał, gdy do stolika podszedł kelner, tocząc przed sobą wózek zastawiony butelkami z alkoholem.

– Właściciel przesyła pozdrowienia i ma nadzieję, że pan St. Arnold i piękna panna Duprez zechcą spróbować *café brulot* – poinformował ich. – Szef słyszał, jak śpiewa panna Duprez i bardzo mu się podobała. Powiedział też, żebym dodał, że zawsze lubił patrzeć na zakochanych.

Uśmiechając się lekko, Jake podziękował gestem właścicielowi, który patrzył na nich z uśmiechem z drugiego końca sali. Przygotowanie egzotyczna kawy z pomarańczą, przyprawami i alkoholem okazało się widowiskiem. Głowy obecnych zwróciły się w ich stronę, gdy zapłonął palnik i zawartość butelek: *Grand Marnier*, rum, krem bananowy i brandy; wszystko to zostało zmieszane z czarną kawą ze srebrnego dzbanka.

Pomarańczę obrano spiralnie i całą mieszankę podpalono. Kelner przelewał łyżeczką płyn na pomarańczę, która momentalnie zajęła się błękitnym płomieniem.

– To usuwa kwas ze skórki pomarańczy – wyjaśnił szeptem Jake, widząc zafascynowane spojrzenie Annie.

Kawa, serwowana w filiżankach, była doskonała.

– Nigdy nie sadziłam, że kawa może mi tak uderzyć do głowy – przyznała, opróżniając drugą filiżankę.

– Jestem pewny, że mój przyjaciel, właściciel tego lokalu, chciał osiągnąć dokładnie taki efekt. – Uśmiechając się do niej, Jake powiódł palcem wokół brzegu filiżanki. Gest był wystudiowany i zmysłowy, jakby mężczyzna gładził jej policzek. – Jeśli skończyłaś, może stąd wyjdziemy? – zaproponował nagle. – Chcę znaleźć się gdzieś, gdzie mógłbym cię pocałować.

Po uregulowaniu rachunku i zostawieniu hojnego napiwku pomógł jej włożyć zakiet. Na powietrzu Annie poczuła zawrót głowy.

– Jesteś podchmielona – zauważył Jake z zachwytem, obejmując ją ramieniem. – Chodź, kochanie... nocny spacer dobrze ci zrobi. Chcę pocałować cię na Moon Walk, nad rzeką. Kiedy byliśmy tam z Dabneyem, nie zakończyliśmy rozmowy.

Gdy szli w stronę placu, Jake kasał jej ucho i łaskotał ją tak, że śmiała się głośno, kiedy zaczęli wspinać się na schody Moon Walk. Przed nimi w świetle księżycy lśniła rzeka.

– Nie możesz się wykręcić – powiedział Jake, biorąc ją w ramiona i składając pocałunek na jej ustach.

– Teraz, kiedy jesteś osłabiona, zmuszę cię do wysłuchania mnie i nakłonię do udzielenia odpowiedzi.

– Och, nie – zaprotestowała, nie zwracając jeszcze uwagi na ton głosu Jake'a. – To nieuczciwe... właściciel restauracji jest chyba przez ciebie opłacany.

Zamiast odpowiedzi przytulił ją jeszcze mocniej.

– Oczywiście – przyznał. – Często tam bywam. Ale po raz pierwszy widział mnie zakochanego.

Bez wątpienia jego słowa trafiły na podatny grunt, ale Annie jeszcze się nie

poddała.

– Ja też nie zachowuję się jak zakonnica w twoim towarzystwie – wyznała, obejmując go za szyję.

– To nie wystarczy, Annie. – Tym razem jego głos zabrzmiał kategorycznie, a dłonie zacisnęły się mocniej. – Wyznałaś, że mnie kochasz... kiedy byliśmy razem w łóżku. Powiedz to teraz, kiedy stoimy razem nad rzeką. Powiedz, że tak będzie do końca naszego życia.

Wreszcie zaczęła rozumieć, do czego Jake dąży. Ale to prawda, pomyślała. Zawsze będą go kochać, niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość.

– Tak, kochanie – odpowiedziała, patrząc mu w oczy. – Będę cię zawsze kochać.

– Ach, Annie... – Przytulił policzek do jej włosów.

– Rozumiesz, co to znaczy? Kochanie, nie mam nic przeciwko temu, żebyś zajmowała się wyłącznie swoją karierą przez następnych kilka lat. Mówiłem ci wcześniej, jak bardzo zmieniłaś moje życie. Teraz rozumiem, że mogę odważyć się kochać ciebie i że dziecko, które pewnego dnia będziemy mieli, nie zajmie miejsca Jamie'ego. Kiedy się już pobierzemy i będę wiedział, że jesteś tylko moja, nie będzie mi trudno zaczekać...

– Pobierzemy się? – Odsuwając się nieco, rzuciła mu niespokojne spojrzenie. – Czy o to właśnie prosisz? O moją rękę?

Coś błysnęło w jego oczach.

– Przez cały dzień wiedziałas, co ci chcę powiedzieć – odpowiedział.

– Och, Jake... – Odwróciła twarz. W jej sercu ponownie zagościły wątpliwości. Próba poznania przeszłości matki okazała się porażką, gorszą niż gdyby nie dowiedziała się niczego, a teraz znalazła się w sytuacji, której się obawiała.

Może Solange nie porzuciła mnie, choć tak mi się zdawało, próbowała sobie wmówić. Zabrała mnie ze sobą, gdy musiała wybierać między karierą i małżeństwem. Ale przecież dokładnie to samo zrobiła matka Jamie'ego.

Choć kochała Jake'a, w tej chwili czuła bolesny ciężar dziedzictwa. Jestem córką swojej matki, przypomniała sobie, i nie mogę ryzykować zranienia Jake'a jeszcze bardziej, choć jego utrata będzie równała się niemal śmierci.

Przystojny, tak jej drogi i milczący, Jake czekał na odpowiedź.

– Przykro mi, Jake – szepnęła w końcu tak cicho, że musiał się pochylić, aby ją usłyszeć. – Wiedz, że nie kłamałam, kiedy mówiłam o mojej miłości. Ale nie mogę wyjść za ciebie.

## Rozdział 11

Annie i Jake byli dwójką milczących i bardzo nieszczęśliwych ludzi. Wszystkie argumenty zostały już wyczerpane w czasie spaceru po Moon Walk, jak na ironię – ulubionym miejscu randek w Nowym Orleanie.

To rozumiały, że Jake domagał się podania powodów tak kategorycznej odmowy. Annie próbowała sensownie wyjaśnić swe całkowite, choć nieracjonalne przekonanie, ale on tego nie rozumiał. Mruczał ze złością, kiedy ze łzami w oczach przekonywała go, że jest, tak jak jej matka, osobą, której nie można powierzyć najcenniejszych nadziei i marzeń.

– Miałaś rację, unikając mnie na początku – szepnęła marząc, aby ją objął, ale celowo utrzymując dystans. – Zawsze wiedziałam, że jestem do niej podobna, choć próbowałam udawać, iż jest inaczej... nawet przed sobą. Nie potrzebujesz drugiej Laurelle, żeby zbudować na nowo swoje życie, tylko po to, aby wkrótce ją utracić.

– Nie mieszaj w to matki Jamie'ego! – wykrzyknął ze złością, zapalił papierosa i natychmiast go odrzucił. – Nie rozumiesz, że jesteś zupełnie inna? Nie przypominasz też swojej matki, chyba że źle cię oceniam. Kto wbił ci to do głowy? Twój ojciec? Miałem wrażenie, że to był mądry człowiek.

– To nie Ned. – Jej głos brzmiał głucho. – Nikt nie musiał mi tego mówić.

Jake zacisnął pięści.

– Może wyjaśnisz mi, dlaczego wychodząc za mnie miałabyś zrujnować mi życie? – zapytał tonem, w którym brzmiały niebezpieczne nuty.

Czując się trochę głupio, próbowała mu wyjaśnić, że może kiedyś otrzyma wspaniałą ofertę pracy w Nowym Jorku, taką, której nie będzie mogła odrzucić. Prawie nie wierząc w to, co mówi, tłumaczyła mu, że mogłaby go wtedy porzucić.

– Jak możesz kochać mnie i mówić takie rzeczy? – zaprotestował. W jego oczach dostrzegła zdziwienie i niedowierzenie.

Żałośnie wzdychając, potrząsnęła głową.

– Właśnie dlatego, że cię kocham, nie chcę ryzykować zranienia cię. Solange nie tylko odeszła od Neda. Harold Dorsey, ten mężczyzna, który prowadził klub... – przerwała. – Powiedział mi, że była kobietą... lekkich obyczajów.

Jake zaklął.

– I myślisz, że ty też jesteś taka? Nie odpowiadała przez długi czas.

– Nie sądzę, że mnie zostawisz – powiedział w końcu. – Nawet jeśli sama w to wierzysz. Za dobrze cię znam. A ty powinnaś znać mnie... i wiedzieć, że

chciałbym, żebyś podróżowała, jeśli byłoby to dla ciebie ważne, pod warunkiem że zawsze wracałabyś do domu. A co do tego idiotyzmu bycia „kobietą lekkich obyczajów”... Pomyśl tylko! Jak taki anioł jak ty może być latawicą? A ty właśnie jesteś aniołem. Zawsze to czuję, kiedy trzymam cię w ramionach.

Jego słowa brzmiały jeszcze w jej uszach, kiedy Jake przygotował sobie drinka i zapalił papierosa, tym razem paląc go do końca tak, jakby miał być to jego ostatni. Stała niepewnie, patrząc na niego i zastanawiając się, co powinna zrobić. Większość jej rzeczy była na górze, w szafie Jake'a. W ciągu ostatnich kilku tygodni jego dom stał się stopniowo także jej domem. Czy powinna iść z nim do łóżka? Czy Jake spodziewał się, że będą spać razem, jak para małżonków po kłótni?

– Może powinnam iść do Sally, przynajmniej na tę noc? – zapytała.

– Nie – odpowiedział bez wahania, choć nie patrzył na nią. – Nie chcę, żebyś odeszła.

Annie nie była zdziwiona, że tej nocy nie kochali się. Po raz pierwszy czuła się skępowana swą nagością, więc włożyła starą koszulę Jake'a. Nie skomentował tego. Zgasił światło, pocałował ją na dobranoc i zasnął.

Och, Jake, myślała, leżąc przy nim w ciemnościach. Czy nie wiesz, jak bardzo chciałabym być taka, za jaką mnie uważasz? Jak szybko przyjąłabym twoje oświadczenia, gdybym była pewna, że nasz związek przetrwa?

Choć jego głowa znajdowała się blisko, wiedziała, że nie może oczekiwać odpowiedzi. W tej sytuacji to ona musiała znaleźć odpowiedź. Może nie mam racji, pomyślała, po raz pierwszy odważając się na rozważenie uroczych możliwości, jakie przed nią roztoczył. Może mam obsesję na punkcie Solange i jej błędów, bo nigdy nie znałam jej osobiście.

Rano Jake wyszedł wcześniej na spotkanie w biurze. Annie przepracowała kilka godzin w barze i poszła do klubu na próbę z nowym pianistą, który miał zastępować Oscara. Mężczyzna, przyjęty przez Jake'a poprzedniego dnia, nie pokazał się. Usiadła przy pianinie i zaczęła nucić pod nosem jedną z ballad jej ojca.

– Cześć, Annie – rozległ się znajomy głos. Uniosła głowę.

– Harry! – wykrzyknęła ze zdumieniem. – Nie widziałam cię całe wieki!

Uśmiechnął się.

– Byłem zajęty... i spędzałem mnóstwo czasu z dziewczyną pracującą w dziale reportaży.

– To cudownie.

Harry zauważył jej dziwny wygląd.

– Jak ci się układa z Jakiem? – zapytał bezceremonialnie.

Wzruszyła ramionami i skrzywiła się lekko.

– W tej chwili nie za bardzo. Mamy problemy. Myślę, że poradziłabym sobie z nimi, gdybym mogła ustalić kilka rzeczy... na przykład, jaka naprawdę była moja matka i jaki wpływ na mnie wywarła. Ale nie wydaje mi się to możliwe.

Ku jej zdumieniu twarz Harry'ego rozjaśniła się.

– Wręcz przeciwnie. Mam dla ciebie dobre wiadomości – powiedział. – Nareszcie znaleźliśmy Marie Arnogne.

Na chwilę zabrakło jej słów.

– Znalazłeś ją? – zawołała. – Gdzie ona jest? Pamięta moją matkę? Porozmawia ze mną? – zasypała go pytaniami.

– Spokojnie. – Oczy Harry'ego, skryte za okularami, błyszcząły. – Odpowiedź na pytanie pierwsze: przebywa w domu opieki Anderson Arms, w Gretna. Właściwie znalazła ją moja nowa przyjaciółka, Jennifer, szukając materiałów do reportażu. Ona mówi, że pani Arnogne zgodziła się porozmawiać z tobą.

– Och, Harry! – Annie, zachwycona faktem, że oczekiwane informacje nadeszły w najbardziej odpowiedniej chwili, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w policzek. – Jesteś cudowny! – dodała. – Tyle ci zawdzięczam.

Żadne z nich nie zauważyło, że w tej chwili do klubu wszedł Jake.

– Myślę, że Jake jest w biurze – powiedział Harry, gdy Annie odsunęła się i patrzyła na niego z uśmiechem. – Jeśli chcesz pojechać do Gretna po południu, możesz wziąć mój samochód. Za kilka minut przyjedzie po mnie Jenny. Kiedy wrócisz, po prostu zaparkuj na zwykłym miejscu.

Gdy wsiadała do samochodu Harry'ego, nie zauważyła na parkingu auta Jake'a. Kierując się w stronę autostrady, myślała jak fatalistka: co będzie, to będzie.

Przejeżdżając przez most, miała mieszane uczucia. Za jakieś pół godziny stanie twarzą w twarz z Marie Arnogne, w której odnalezienie zdążyła zwątpić. Teraz, kiedy Harry ją znalazł, będzie musiała wysłuchać wszystkiego, co ta kobieta ma do powiedzenia.

Może ją pamięć zawiedzie, ostrzegała siebie. Ale jeśli nie, może powtórzy to, co mówił Harold Dorsey. A właściwie, co chcesz usłyszeć?

Chcę usłyszeć, że wszyscy mylili się w ocenie Solagne, że piękna piosenkarka nie była latawicą. Chcę usłyszeć, że była kochającą matką, pomyślała, i nie zrozumianą żoną, którą skrzywdził zły los. Chcę, żeby pani Arnogne oczyściła imię mojej matki i przekonała mnie, że mogę prowadzić takie życie, jakiego pragnę.

Nie zamierzała rezygnować z kariery, ale chciała spędzić życie u boku Jake'a.

Parkując samochód w cieniu wielkiego dębu, przed niskim, ceglanym budynkiem, czuła ucisk w gardle. Nic się nie dzieje, pomyślała, podchodząc z obawą do podwójnych, oszklonych drzwi. To tylko moje wszystkie nadzieje i cała rozpacz.

Ku jej zdumieniu recepcjonistka zdawała się czekać na nią.

– Tak, pani Arnogne nie mówiła o niczym innym – oświadczyła z radością. – Ciesz się, że córka jej starej przyjaciółki przyjeżdża w odwiedziny.

Słowo „przyjaciółka” dźwięczało w uszach Annie, gdy szła za recepcjonistką długim, wyłożonym kafelkami korytarzem do pokoju pani Arnogne, który dzieliła z czterema starszymi kobietami.

– To jest pani Marie Arnogne – poinformowała ją kobieta, wskazując gestem głowy szczupłą, delikatną staruszkę o ostrych, galickich rysach, siedzącą przy oknie. – Proszę podejść. Ona czeka na panią.

Annie zrobiła krok, potem następny. Marie Arnogne uniosła głowę i w jej wyblakłych oczach pojawił się błysk.

– Och, to ty – powiedziała, wyciągając ręce. – Jesteś taka podobna do mamy, wszędzie bym cię poznała. Podejź, proszę, i usiądź. Przepraszam, ale zajęłam najlepsze krzesło.

Annie podeszła jak lunatyczka i ujęła ręce kobiety. Choć małe i delikatne, były zdumiewająco silne.

– Dziękuję – zaczęła z wahaniem – za to, że pozwoliła mi pani przyjść.

– Ach, dlaczego by nie? – Kobieta ze smutnym uśmiechem potrząsnęła głową. – Mała Annie... tak cię zapamiętałam... mała i pyzata, z miękkimi blond włoskami, jak aniołek. Teraz je rozjaśniasz, prawda? Tak jak twoja matka. I jesteś tak samo piękna.

Bez wątpienia była gospodyni matki była sentymentalna.

– Czy to znaczy, że mieszkałam z matką w Oakleaf?

– zapytała.

– Przez kilka miesięcy, dopóki nie przyjechał twój ojciec, żeby cię zabrać. – Przez twarz kobiety przemknął cień. Ta informacja Harolda Dorsey'a potwierdziła się. – To się stało, kiedy Solange była w pracy – dodała. — Twój ojciec przyjechał z policjantem i zaświadczeniem z sądu o przyznanej mu prawie do opieki nad tobą. Musiałam jej później wyjaśnić, co się stało.

Z tonu kobiety można było wywnioskować, jak bardzo załamana i bezbronna była wówczas matka Annie. Dziewczyna mogła sobie wyobrazić, jak gospodyni bierze w ramiona szczupłą piosenkarkę o złamanym sercu i na próżno próbuje ją



pocieszyć.

– Tęskniła za mną? – zapytała Annie, czując się głupio, ale wiedząc, że musi usłyszeć odpowiedź. – Wiem, że to głupie pytanie, ale nigdy później jej nie widziałam. Nawet nie pamiętam...

– Biedactwo. – Marie Arnogne ze współczuciem poklepała ją po ręce. – Po tylu latach to nie jest żadna pociecha, ale twoja matka była ci bardzo oddana. Poza muzyką byłaś jej całym życiem. Kiedy zabrał cię ojciec, złamało jej to serce.

– W takim razie... dlaczego po mnie nie przyjechała?

– Nie sądzę, żeby mogła to zrobić. Twój ojciec dostał wyrok sądu. Zresztą to było dawno temu. Wydaje mi się, że sąd nie patrzył łaskawie ani na jej zawód, ani na fakt, że opuściła uczciwego mężczyznę, twego ojca, z własnej woli.

Annie zamknęła oczy, przypominając sobie słowa Harolda Dorsey: „co noc inny mężczyzna”.

– Chodziło o mężczyzn, prawda? – spytała z napięciem. – To przez nich nie mogła walczyć z ojcem... i przez nich on mnie zabrał.

Marie Arnogne zmarszczyła brwi.

– Mężczyźni? Nie rozumiem. Z tego, co wiem, twoi rodzice nigdy się nie rozwiedli. Nie było innych mężczyzn w jej życiu... przez ten krótki czas, jaki jej został.

– Harold Dorsey powiedział...

– Dorsey? Ten łotr, który prowadził klub, gdzie pracowała? – Starsza kobieta nie kryła rozdrażnienia.

– Go ci powiedział?

Przez chwilę Annie nie mogła się odezwać.

– Powiedział, że była latawicą – szepnęła w końcu.

– Kobieta, która co noc przyprowadzała sobie innego mężczyznę. Nie chciałam mu wierzyć, ale nie mogłam znaleźć nikogo, kto by ją pamiętał.

Pochyliła głowę i zapłakała. Chwilę później starsza kobieta pogładziła ją po włosach, jakby Annie dalej była dzieckiem, które zapamiętała.

– Nie płacz, maleństwo – powiedziała uspokajająco. – Takich ludzi jak on można odpowiednio nazwać, ale przecież jesteśmy damami. Nie zniżymy się do jego poziomu. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Miedzy panem Dorseyem i Solange panowała niezgoda. Pracowała w jego klubie, ale nie pozwoliła mu zmarnować swojego talentu.

Annie odrzuciła narastającą nadzieję i potrząsnęła głową.

– A więc wiele lat po jej śmierci wymyślił tych mężczyzn, żeby wyrównać stare

rachunki? Przykro mi, ale nie wierzę w to.

– Nie, nie wymyślił ich. Twoja matka była piękną kobietą; ty jesteś jej niemal doskonałym odzwierciedleniem. Mężczyźni tłoczyli się wokół niej, ilekroć śpiewała. A ona była kobietą i uwielbiała być podziwiana. Ale nie zadawała się z nimi, nawet kiedy ciebie już z nią nie było. Powiedziała mi, że Ned spodziewał się po niej takiego zachowania. „Ciągle jestem mężatką, Marie”, mówiła. „Nawet jeśli mój mąż myśli, że nie jestem lepsza od prostytutki”. Czułam, że pragnie któregoś dnia wrócić do domu, po odniesieniu wielkiego sukcesu, i spróbuje przekonać Neda, aby zrozumiał, co próbowała osiągnąć.

Przez dłuższy czas siedziały w milczeniu. Annie próbowała wyobrazić sobie scenę sprzed ponad dwudziestu lat.

Wreszcie uniosła głowę i napotkała pełne współczucia spojrzenie przyjaciółki matki.

– A potem zachorowała – powiedziała Annie drżącym głosem.

– Tak. – W oczach starej kobiety pojawił się dziwny wyraz. – Trzymałam ją w pensjonacie tak długo, jak mogłam. Wkrótce jej choroba rozwinęła się i nie mogłam już zapewnić jej należytej opieki. Nie chciała, żebym dzwoniła do twojego ojca ani do jej rodziny w Vacherie. Poszła więc do szpitala miejskiego. Odwiedziłam ją tam przed śmiercią kilka razy.

Smutny koniec Solange wywołał łzy obu kobiet. Na szczęście były też weselsze wspomnienia. Staruszka opowiadała o swej przyjaciółce, jej talencie i miłości do dziecka, która przywiozła ze sobą w poszukiwaniu realizacji swych marzeń.

– Myślę, że jako dziecko była rozpieszczana – powiedziała. – I była całkowicie niepraktyczna. Ale nigdy nie znałam słodszej i bardziej kochającej osoby.

Dochodziła szósta, gdy Annie postanowiła wracać. Gorąco podziękowała staruszce za wspomnienia, nawet te, które doprowadziły ją do łez. Obiecała, że jeszcze kiedyś ją odwiedzi.

– Może następnym razem wyjdziemy do ogrodu na spacer – zaproponowała. – Albo pojedziemy gdzieś, jeśli pani będzie się dobrze czuła.

Marie Arnogne uściśnieła mocno jej rękę, jakby nie chciała pozwolić jej odejść.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo by mnie to ucieszyło, kochanie – powiedziała.

Wracając do miasta Annie była pogrążona w myślach. Harold Dorsey nie miał racji, powtarzała sobie jak litanie. Pomimo jego chęci zemsty, pomimo zazdrości Neda, moja matka nie była pozbawiona zasad moralnych; na pewno nie była latawicą, która porzuciła ojca dla innych mężczyzn. Reporter, który opisał ją jako

kobietę niewinną, nie mylił się.

Kochała Annie tak bardzo, że zabrała córeczkę ze sobą i tęskniła, gdy mąż odebrał jej dziecko. Może nie opuściła męża, żeby prowadzić samodzielne życie, ale wybrała karierę, tak jak matka Jamie'ego.

Tego oskarżenia nie umiała odrzucić. Mimo to, mijając most, zrozumiała coś nowego: dla Solange i Neda nie było innego wyjścia.

Ned, zakorzeniony w Houma i zakochany w swoich bagnach, odmówiłby wyjazdu do miasta, aby pomóc żonie w zrobieniu kariery. Solange byłaby uwięziona, tak jak Annie za życia ojca. Nie mogłaby robić kariery w miasteczku, gdzie obowiązującymi rytmami były walce i piosenki ludowe, a ulubionymi instrumentami akordeon i harmonijka ustna.

Gdy wreszcie postanowiła odejść z Houma, zazdrość Neda uniemożliwiła mu zrozumienie jej motywów. Moi rodzice znaleźli się w impasie, uznała. To nie było niczyją winą. Wiem, że oboje mnie kochali i kochali też siebie tak, że tylko śmierć mogła ich rozłączyć. Ale ich marzenia i aspiracje były tak różne. Nie mogli żyć ze sobą. •

Czuła się tak szczęśliwa, jak w dniu, w którym Jake po raz pierwszy wziął ją w ramiona. Konflikt między Nedom i Solange nie miał dla niej żadnego znaczenia. Jake mieszka w Nowym Orleanie, a nie w Houma i jazz jest częścią jego życia.

Zeszłej noc wspomniawszy, że mógłby pokochać bagna tak jak ona. Powiedział też, że zrozumie jej chęć podróżowania, jeśli zawsze będzie wracać do domu.

Przecież chcesz mieć kiedyś z nim dziecko, powiedziała sobie ostro Annie. Na co czekasz, zanim powiesz mu „tak?”

Kiedy parkowała przed klubem, samochód Jake'a stał na swoim miejscu.

Zastanawiała się, czy Jake jest na górze. Chciała natychmiast mu powiedzieć, czego się dowiedziała. Później przypomniała sobie, że skończył pracę nad projektem. Z klubu dobiegała muzyka. Jake na pewno jest w klubie, jak zwykle, pomyślała.

Nie było go jednak przy jego stoliku. Chwilę później zauważyła go przy barze. Stał tyłem do sceny i pił szkocką. Siedząca obok mocno umalowana brunetka flirtowała z nim, próbując bezskutecznie zwrócić na siebie jego uwagę.

Coś jest nie tak, pomyślała z obawą, zajmując miejsce obok Jake'a. Czyżby coś się nie udało w związku z projektem?

Na jej widok Jake lekko unióśł brwi.

– Zdrowie! – rzucił zwięźle, unosząc szklanę. – Nie spodziewałem się, że zobaczę cię dziś w klubie.

– Ależ... dlaczego nie? Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że pojechaliście z Harrym za miasto.

– Ja i Harry? Kochanie, pożyczyłam od niego samochód, żeby pojechać do Gretna, do Marie Arnogne. Mieszka w domu opieki. Harry ją tam odnalazł.

W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania, lecz rzucił tylko obcym głosem:

– Przypuszczam, że wyraziłaś mu odpowiednio swą wdzięczność.

Annie nakryła dłonią jego dłoń.

– Oczywiście, że jestem mu wdzięczna – powiedziała, – Nie sądzisz, że powinnam? Jake, dzieje się coś, o czym mi nie mówisz.

– Coś, czego ja nie mówię? – Zaklął. – Nie rób ze mnie głupca. Widziałem was wcześniej, w objęciach. Ale nie musisz mi przypominać... jesteś wolna i możesz być tak cholernie wdzięczna... każdemu.

Przez chwilę patrzyła na niego, próbując zrozumieć, o czym mówi.

– Myślisz, że ja i Harry... – zaczęła i przypomniała sobie scenę przy pianinie. – Przecież sam w to nie wierzysz, prawda? – zapytała cicho.

– A jakie to ma znaczenie? – Przesunął szklankę po barze, gestem prosząc barmana o następną szkocką. – Zeszłej nocy wyraziłaś się jasno – dodał, nie patrząc na Annie. – Twoja matka była ladacznicą, więc ty też musisz taka być. Uparłaś się, że musisz mi to udowodnić, Bóg wie dlaczego. Tylko nie oczekuj, że będę na to patrzył. To wszystko, o co proszę.

Przerażona jego słowami Annie poczuła, że wzbiera w niej gniew i dochodzi do głosu charakter odziedziczony po ojcu.

– Może to ja nie powinnam być w pobliżu – rzuciła złowieszczo.

Długo nie odpowiadał.

– Jeśli chcesz zerwać kontrakt, nie będę wyciągał żadnych konsekwencji – stwierdził w końcu.

Wstał, nie czekając na zamówionego drinka. Machnął ręką i wyszedł.

Annie odprowadziła go wzrokiem, czując dziwną słabość. Była jednak da, tak bardzo, że uchroniło ją to przed rozplakaniem się. W porządku, pomyślała, trzymając się swej złości jak koła ratunkowego. Niech będzie, jak chcesz. Nie ma sensu zmuszać cię do wysłuchania prawdy. Nie mogę dbać zarówno o karierę, jak i o mężczyznę, który nie potrafi mi zaufać.

Postanowiła zabrać swoje rzeczy z jego mieszkania później. Z oburzeniem wyszła z klubu. Mam nadzieję, że Stephen Morel mówił poważnie, kiedy prosił, żebym zastanowiła się nad jego propozycją wzięcia udziału w koncercie,

pomyślała, idąc pieszo do mieszkania Sally.

## Rozdział 12

Kiedy Annie dotarła do domu, Sally szczęśliwie nie było. Z poczuciem ulgi i żalu wykręciła domowy numer Stephena Morela. Udało jej się uzyskać połączenie natychmiast. Jeszcze nie podpisał kontraktu z żadnym piosenkarzem.

– Jestem zachwycony, że zmieniłaś zdanie – powiedział. – Pewnie nie uda mi się namówić cię na przyjazd tu kilka tygodni wcześniej, prawda? Oczywiście, potrzebujemy trochę czasu na przygotowanie programu. Interesuje mnie mały kabaret tutaj, na Jannus Landing.

Z ciężkim sercem zgodziła się na propozycję. Zostały jej dwa tygodnie do wygaśnięcia kontraktu, a zresztą Jake powiedział, że nie będzie wyciągał konsekwencji, jeśli Annie nie wywiąże się z umowy. Jeśli chce, żebyś odeszła, jakie znaczenie ma fakt, kiedy to nastąpi, pomyślała.

Siedziała skulona na łóżku w ciemnościach, kiedy ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– Wpuść mnie – rozległ się głos Jake'a. – Muszę cię przeprosić, kochanie.

Oszołomiona, z wahaniem otworzyła drzwi.

– Jakieś dwadzieścia minut temu przyszedł do klubu Harry... ze swoją nową narzeczoną – wyznał Jake, ujmując jej dłonie. – Ktoś mu powiedział, co zaszło między nami.

– I wyprowadził cię z błędu?

– Całkowicie. Jest na mnie wściekły...

– Ja też – przyznała. – Ja też.

– Masz do tego pełne prawo, kochanie. Ale proszę cię, żebyś mi przebaczyła. Nie chcę, żebyś odeszła.

Annie na moment zacisnęła powieki.

– Obawiam się, że muszę – wyznała. – Po rozmowie z tobą zadzwoniłam do Stephena Morela. Zgodziłam się wziąć udział w jego koncercie w St. Petersburgu pod koniec miesiąca.

Jake patrzył na nią zaskoczony.

– Możesz znów zmienić zdanie – stwierdził, usiłując ją objąć.

Opierając się, potrząsnęła głową.

– Nie – odrzekła. – Tego nie mogę zrobić. Ale nie muszę wyjeżdżać natychmiast, tak jak prosił. Mogę zostać, ponieważ nasz kontrakt wygasa dopiero za dwa tygodnie. Potem jednak powinnam wyjechać.

Wyczuł w jej słowach coś nieodwołalnego.

– Nie chodzi tylko o to, że dałaś słowo, prawda? – zapytał.

– Nie – przyznała. – Masz rację.

Nie widzisz tego, dodała w myśli. Teraz muszę sprawdzić, co się stanie, jeśli wyjadę; czy nasza miłość może przetrwać. Kiedy poznała prawdę o Solange, gotowa była zaryzykować.

Jake patrzył na nią, jakby starał się zinterpretować jej milczenie.

– Kiedy będzie ten koncert? – zapytał w końcu.

– Za trzy tygodnie.

– W porządku. Potem wracasz do Nowego Orleanu.

– Może. Nie mogę obiecać.

Nawet w ogrodzie Bethii Jacobsen, kiedy opowiadał jej o swoim synu, jego twarz nie była aż tak pozbawiona wyrazu.

– W takim razie chodź ze mną teraz do domu – zażądał.

Kochali się tej nocy i był to akt tak gwałtowny, czuły i smutny, że Annie miała ochotę płakać. Leżąc potem w objęciach Jake'a myślała, że pomimo fizycznej przyjemności ich ciałom nie udało się stworzyć jedności, jaką utraciły ich dusze.

W czasie ostatnich dwóch tygodni kontraktu w klubie byli z Jakiem nierozdzielni w dziwny sposób: razem, ale ze świadomością, że między nimi istnieje niewidzialny mur, którego żadne z nich nie potrafiło zburzyć. Oscar wrócił ze szpitala i w ostatnią noc zasiadł przy pianinie.

– Słyszałem, co działo się między wami – powiedział Annie przed koncertem. – Robisz wielki błąd. Nie każdemu udaje się znaleźć w życiu prawdziwą miłość.

Annie nie próbowała niczego wyjaśniać, może dlatego, że nie była pewna, czy sama siebie rozumie. Po południu kochali się po raz ostatni, potem przytulili się mocno i wreszcie rozeszli. Po przedstawieniu na lotnisku miał na nią czekać prywatny samolot Morela.

Annie czuła ból w sercu, gdy ujęła mikrofon, żeby wykonać piosenkę, którą oboje kochali – bluesową, tę samą, którą Jake kazał jej zaśpiewać na przesłuchaniu.

Jake siedział przy perkusji, w rozluźnionym krawacie i koszuli z podwiniętymi rękawami, ukazującymi jego umięśnione ramiona. Swoją rozpacz i ból wyrażał w muzyce. Ku zachwytowi publiczności wykonywał jedną solówkę po drugiej. Tylko Annie, Oscar i Harry mogli zrozumieć głębię jego gniewu i smutku.

Jest jedyny na całym świecie, myślała Annie, patrząc, jak zmusza bębny do jęków, łkania i grzmotów. Jest tak szczególny, że poza nim nic nie powinno się liczyć. Jestem głupia, ryzykując w ten sposób jego utratę.

A jednak w tej chwili nie miała już na to wpływu. Czuła się niesiona wirem wydarzeń i zobowiązań, a także własnej niepewności. Wiedziała, że nie ma znaczenia odległość dzieląca Florydę od Nowego Orleanu. Musiała liczyć się z faktem, że odjeżdża bez żadnej obietnicy powrotu. Bez niczyjej pomocy będzie musiała poradzić sobie z wszystkimi problemami.

Jadąc na lotnisko, prawie nie rozmawiali ze sobą. Spokojnie położyła rękę na jego kolanie, żeby mógł ją nakryć swoją. Choć udawała spokój, jej serce niemal przestało bić, gdy zobaczyła samolot. Zatrzymali się. Podszedł pilot, czekający na bagaże.

– To chyba pożegnanie – odezwał się Jake, biorąc ją w ramiona. Annie czuła jego ogromną miłość i tęsknotę.

– Może nie powinniśmy się żegnać – szepnęła. W jej oczach pojawiły się Izy, kiedy uniosła ku niemu usta. – Powiedzmy sobie: do widzenia...

– Annie... nie zapominaj, jak bardzo cię kocham. Gwałtownie, a jednocześnie z największą czułością jego usta spoczęły na jej wargach. Czuła jego ciało przyciśnięte do jej ciała, jakby chciał jego siłą zatrzymać ją przy sobie. Chwilę później pozwolił jej odejść.

– Wróc do mnie – szepnął, nie oczekując odpowiedzi.

Stał w tym samym miejscu, gdy samolot ruszył i wystartował.

– Jake! – krzyknęła do niego w niemym gniewie, siedząc samotnie w kabinie pasażerskiej. – Co znaczy kariera bez ciebie?

Mimo to była córką Neda i Solange, i zdecydowała się sprawdzić w jedyny dostępny sposób, co może czekać ich w przyszłości.

Morel czekał na nią na lotnisku Clearwater w St. Petersburgu. Przywitał ją z wielką uprzejmością i zaprosił do limuzyny. Była pewna, że zauważył jej zapuchnięte powieki i odgadł tego przyczynę.

Tak jak obiecał, traktowana była jak gość z rodziny królewskiej. Umieszczono ją w pokojach gościnnych, tuż obok apartamentu Morela na czternastym piętrze. Miała też dostęp do wspaniale nastrojonego steinwaya, W jej apartamencie był balkon, wychodzący na przystań z jachtem i błękitne przestworza Tampa Bay. Kiedy zapragnęła, miała do dyspozycji limuzynę z kierowcą. Każdej nocy, nawet wtedy, gdy śpiewała w klubie, jadła obiad ze swym gospodarzem, często w gronie jego przyjaciół.

Choć żyła praktycznie w jego mieszkaniu, Stephen Morel nie robił jej awansów. Był zawsze grzeczny i ograniczał się w rozmowach do tematów służbowych, pytając z zainteresowaniem o jej aspiracje.



Kiedy nie była na próbie z orkiestrą symfoniczną i nie towarzyszyła gospodarzowi, oddawała się marzeniom. Spędzała drugie godziny na balkonie, skąpiana w słońcu, patrząc na wodę złocącą się w promieniach słońca. Siedząc tak, pozwalała swemu wzrokowi spocząć na uwiązanych łodziach, czekających na pasażerów.

Ludzie jeździli na rowerach, pływali łódkami, cieszyli się swoim towarzystwem i wiatrem poruszającym palmami. Jest tu tak pięknie, myślała, jak na pocztówce. To jest wprost nierealne.

Przez krótki czas, gdy pracowała w „Raju Utraconym”, nauczyła się kochać Nowy Orlean prawie tak samo jak Jake'a. Stał się dla niej domem.

Gdziekolwiek rzuci ją los – do Nowego Jorku, Dallas czy na przerażającą i wspaniałą granicę Zachodniego Wybrzeża – każdemu miejscu będzie brakować wyjątkowej atmosfery Nowego Orleanu, tak samo jak i obecności Jake'a. Będzie tęsknić za kawą z domieszką cykorii i rogalikami, tak samo jak jej ciało będzie tęsknić za ciepłem jego ramion.

Leżąc na słońcu, wysmarowana olejkami, mogła myśleć tylko o ukochanym mężczyźnie i zastanawiać się, co Jake teraz czuje i co robi. Wiedziała, że mimo woli stała się kobietą jednego mężczyzny i jednego miasta. Jednak nie wiedziała, czy może do niego wrócić, nawet jeśli zdecyduje się zakończyć karierę. Od chwili pożegnania minął tydzień, a on w tym czasie nie napisał i nie zadzwonił. Prawdopodobnie tym razem dał sobie ze mną spokój, myślała nieszczęśliwa. Zastanawiała się, czy on też zwątpił w przyszłość ich związku.

Gdy wreszcie w dzień koncertu zadzwoniła do niego, nie zastała go w domu. Harry'ego nie było w klubie i nikt nie umiał jej powiedzieć, gdzie podziewa się Jake. Oczywiście, była zbyt dumna, żeby dzwonić do jego wujostwa, a w czasie weekendu biuro projektów z pewnością było zamknięte.

Dziś już nic nie mogę zrobić, pomyślała, wkładając białą suknię, którą kupił jej Stephen Morel. Wyszczotkowała energicznie włosy, układając je tak, jak czesała je zwykle od dnia, gdy Jake pochwalił tę fryzurę. Tej nocy muszę dać z siebie wszystko, postanowiła, pokazać, na co mnie stać. Potem muszę po prostu zdobyć się na odwagę, wrócić i wyjaśnić wszystko Jake'owi. Nie mogę uciekać od tego, czego pragnę najbardziej na świecie.

Podczas gdy w Straub Park odbywał się piknik, Stephen Morel zaprosił ją na obiad do The Pier. Annie przekonywała go, że przed występem nigdy nie jest głodna. Mimo to Stephen zarezerwował stolik przy oknie w restauracji serwującej dania z owoców morza. Znajdowała się tuż nad mlecznobłękitną wodą zatoki.

Nie nakłaniał jej do jedzenia. Zamówił wino, chcąc, żeby Annie odprężyła się, i od razu przystąpił do rzeczy.

– Prawdopodobnie zastanawiałaś się, dlaczego nie... narzucałem ci się – powiedział, obejmując dłońmi szklanę. – Z mojego doświadczenia wynika, że kobieta zawsze wyczuwa zainteresowanie mężczyzny, a więc nie wątpię, że masz świadomość tego, co do ciebie czuję.

Zaskoczyło ją to i wołała nie odpowiadać.

– Jednym z powodów jest Jake St. Arnold i to, że go szanuję – ciągnął. – Ale jest coś jeszcze. Miałem nadzieję, że po przyjeździe do St. Petersburga zapomnisz o nim, zaczniesz na mnie patrzeć jak na człowieka, który może ci służyć radą i pomocą, że z czasem obdarzysz mnie uczuciem. Jednak tak się nie stało.

– To niezupełnie prawda – odpowiedziała szczerze, – Bardzo cię lubię, ale muszę przyznać: kocham Jake'a z całego serca.

Morel obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem.

– W takim razie może powiesz mi, Da czym polega problem?

Annie poczuła instynktowne zaufanie do swego nowego szefa i zrzuciła z siebie ciężar niepewności i samotności. Cichym głosem opowiedziała mu o wszystkim: próbach poznania przeszłości Solange i własnym strachu, że powtórzy błędy matki. Drżącym głosem opisała, jaką ulgę odczuła, poznając prawdę. Miała wrażenie, że zachowuje się trochę nielojalnie, wspominając o zazdrości Jake'a i jego skrupułach.

– Byliśmy kochankami do chwili, kiedy opuściłam Nowy Orlean – przyznała, patrząc Morelowi w oczy. – Ale po incydencie z Harrym czegoś zabrakło w naszym związku i nie wiem, czym można to zastąpić. Nie chcę żyć z zazdrością.

Wzdychając, Stephen potrząsnął głową.

– Czy nie możesz spojrzeć na to oczami Jake'a? Wyobraź sobie, jak się czuje, zastanawiając się, co by było, gdybyś nigdy nie odnalazła gospodyni swojej matki i nie poznała prawdy. Na jego miejscu chciałbym, żebyś zaakceptowała związek jako taki, a nie uzależniała go od tego, co zdarzyło się innym w przeszłości.

Annie wpatrywała się w niego, oszołomiona prostotą i jasnością jego rozumowania.

– Masz rację – powiedziała. – Jakoś nie dostrzegałam tego wcześniej. Ma prawo czuć się zdradzony. Ale... co z jego zazdrością? Czy to nie to samo? Nie wierzył, że się pomylił, dopóki Harry nie wyprowadził go z błędu. Jeśli chcemy utrzymać ten związek, Jake musiałby bardziej mi ufać.

Stephen skinął głową.

– Na pewno masz rację. Wydaje mi się jednak, że byłoby inaczej, gdyby miał

pewność, iż zależy ci na nim. – Przerwał, upewniając się, że go zrozumiała. Odłożył serwetkę na stół i wstał. – Przepraszam, muszę zadzwonić – powiedział z namysłem. – To nie powinno trwać długo. Mogę zostawić cię tu samą?

Do czasu gdy zapadł zmrok i Annie znalazła się za kulisami zaimprovizowanej sceny w Straub Park, podjęła już decyzję. Jeśli po zakończeniu koncertu będę musiała jechać do Nowego Orleanu autostopem, myślała, to tak właśnie zrobię. Stephen ma rację – oboje nie mieliśmy do siebie wystarczającego zaufania. To, co musimy sobie wyjaśnić z Jakiem, jest niczym w porównaniu z perspektywą życia bez niego.

Została przedstawiona publiczności i powitana oklaskami. W oświetlonym setkami lamp parku czekały tłumy ludzi. Tak jak umówiła się z konferansjerem, zaczęła występ od wesołych piosenek, wywołujących spontaniczne reakcje słuchaczy, potem przeszła do klasycznych piosenek z lat czterdziestych.

Śpiewała najlepiej jak mogła, mając za plecami orkiestrę symfoniczną, a w sercu rozwiązane problemy. Tym razem nie martwiła się o nic, więc romans z publicznością kwitł jak zwykle. Zawsze będę potrzebowała tej magii, pomyślała, ale dla niej nie zamierzam zrezygnować z mężczyzny, którego kocham.

Po kilku szybkich piosenkach zmieniła tempo i stała się wcieleniem zmysłowości. Te piosenki wybrałam dla Jake'a, uświadomiła sobie, odrzucając włosy do tyłu i poruszając się w sposób, jakiego ją nauczył. Nawet jeśli nie możesz ich dziś słyszeć, kocham cię, zapewniała Jake'a, kończąc występ. Wracam do ciebie do domu.

Brawa były ogłuszające i Annie musiała kilkakrotnie pojawiać się na scenie. Wreszcie mogła zniknąć za kulisami.

– Ktoś chce z tobą porozmawiać – powiedział Stephen Morel, pomagając jej zejść ze stromych schodów.

Obejrzała się, spodziewając się reportera z notatnikiem lub aparatem fotograficznym, i wtedy go zobaczyła. Miał na sobie jasne spodnie i ciemną koszulkę polo. Patrzył na nią tak samo jak na lotnisku, a jego oczy lśniły w ciemności.

– Jake! – Wyrwała się Morelowi i skoczyła w ramiona ukochanego. – Najdroższy – powiedziała bez tchu, czując oszalałe bicie serca. – Myślałam...

– Że mogę o tobie zapomnieć? Skarbie, to niemożliwe. Ale mogłem okazać się głupcem, gdyby nie mój najlepszy klient.

– Stephen?

Skinął głową i w następnej chwili ujął jej rękę.

– Chodźmy – rzucił, wyciągając ją z tłumu. – Tęskniłem za tobą jak szalony. Chodźmy stąd.

Zaskoczona jego obecnością, nawet nie zapytała, dokąd idą. Za nimi rozległy się pierwsze takty koncertu Czajkowskiego. Jake ciągnął ją za sobą tak, że musiała biec, aby za nim nadążyć.

Minęli kilka przecznic, gdy nagle Annie zaczepiła obcasem pantofla o trotuar.

– Jake, proszę! – krzyknęła. – Nie mogę biec w tej sukience i w takich butach!

Zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie.

– Mogę cię nieść, jeśli chcesz, aniołku – powiedział po chwili, patrząc na nią. – Nawet pomimo tego, że jesteśmy prawie u celu.

– Apartament Stephena?

Przytaknął, uśmiechając się.

– Zadzwoił do mnie wieczorem – chyba wtedy, kiedy jedliście obiad – i powiedział, żebym jechał na lotnisko. Tak się złożyło, że samolot jego przedsiębiorstwa odlatywał z Nowego Orleanu. Udało mi się zdążyć na twoją ostatnią piosenkę.

Stali przed wejściem do budynku i zauważył ich dozorca.

– Zapytałem, czy mogę cię wziąć na ręce – przypomniał Jake, zerkając na dozorcę i na Annie.

– Byłabym zachwycona – odpowiedziała, patrząc na niego z miłością.

Chwycił ją na ręce i otworzył drzwi.

– Dobry wieczór – powiedziała do dozorczy Annie z przesadzoną grzecznością, gdy Jake wnosił ją do windy.

Całowali się jadąc na górę i omal nie zapomnieli wysiąść na czternastym piętrze.

– Kochanie, nie mam klucza-przypomniała sobie Annie. – Co zrobimy?

Jake z uśmiechem wyciągnął mały, mosiężny klucz, wsunął go do zamka i pchnął drzwi stopą.

– Morel mi go dał – wyjaśnił – i pouczył, że jeśli nie wykorzystam odpowiednio sytuacji, zasługuję na to, żeby cię stracić.

Kilka sekund później postawił ją na ziemi i padli sobie w ramiona. Natychmiast zauważyła, że to, czego brakowało w ich związku, wróciło. Ich czuły uścisk rozpałił namietność, tak jakby ktoś przystawił zapałkę do suchego drewna.

– Morel dał mi dwie godziny – szepnął Jake, zsuwając z ramion Annie sukienkę. – To niewiele na to, co chcę ci zademonstrować.

– Całkiem niewiele. Och, Jake... chce cię ciągle od nowa... dwa... nie, trzy razy

za każdy, który straciliśmy.

Chwilę później nic już nie mówili. Rozbierali się w pośpiechu w jadalni Morela, rzucając ubrania na krzesła lub po prostu na podłogę. Potem Jake zaprowadził ją do okna, zajmującego całą ścianę, akurat w chwili gdy wybuchły fajerwerki, towarzyszące tradycyjnemu strzelaniu z armaty.

Na niebie lśnił księżyc. W powietrzu słychać było przytłumione okrzyki tłumu i muzykę.

– Chcę cię wziąć tu, przy oknie – szepnął Jake, pieszcząc jej piersi i aksamitną skórę na ramionach. – Tak żebym mógł widzieć cię bez zapalania światła.

Podłożył poduszki pod jej głowę i gdy leżała na plecach, obsypał palącymi pocałunkami jej całe ciało, od ust aż do miejsca najbardziej wrażliwego. Tak bardzo go potrzebowałam, pomyślała, czując nadchodzącą rozkosz. Nigdy więcej nawet nie pomyślę o opuszczeniu go.

Po chwili pod wpływem jego pieszczot jęczała i drżała. Jake nakrył ją swym ciałem i znów doprowadził na szczyt, który osiągnęli razem w ekstatycznym połączeniu.

Publiczność rozchodziła się po koncercie, kiedy Jake i Annie leżeli razem na poduszkach.

– Wyjdź za mnie – powiedział Jake miękko, obrysowując jej profil palcem. – Zaufaj mi: nie będę już taki głupi, żeby znów cię utracić.

Annie poczuła, że nie może wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Tak bardzo była mu wdzięczna za kolejną szansę.

– Tak, Jake – wyszeptwała. – Wyjdę za ciebie. Przez chwilę milczał.

– Tak po prostu? – zapytał. – Bez żadnych warunków?

– Bez warunków. Już o tym rozmawialiśmy. Wiem wszystko, czego potrzebuję.

Odpowiedź tak go ucieszyła, że przez chwilę Annie zdawało się, że Jake zacznie się z nią kochać natychmiast. Tymczasem wstał, przeszedł do drugiego pokoju i zaczął czegoś szukać w kieszeniach.

Kiedy wrócił i zapalił zapalniczkę, była pewna, że sięgnie po papierosa. Jednak w blasku płomienia zobaczyła, że podaje jej małe, aksamitne pudełko. Otworzyła je drżącymi palcami.

– Och, Jake – westchnęła, wyciągając lśniący pierścionek. – Jest taki piękny...

– Podaj rękę, kochanie. – Delikatnie wsunął pierścionek ze szmaragdami i diamentami na jej palec. – Miałem go w kieszeni tego dnia, gdy byliśmy na Moon Walk – wyznał. – Wiesz, co mi jego kształt przypomina?

Zatopiona w miłości do niego Annie nie umiała odgadnąć.

– Kacze ziele – odpowiedział, wyraźnie z siebie zadowolony. – Małe szmaragdy to liście, a diamenty to krople wody. Do pierścionka chciałbym dodać dokument...

– Akt ślubu?

– W pewnym sensie... – Rozwinął urzędowy dokument i oświetlił go zapalniczką tak, aby mogła go przeczytać.

– Dzierżawa Neda... – Annie spojrzała na niego ze zdumieniem. – Ależ tu jest napisane, że przechodzi na Annie i Jake'a St. Arnoldów.

– Nie chciałem, żeby trafiła w ręce obcych. – Jego niebieskie oczy lśniły w ciemności. – Może pewnego dnia...

Przytuliła się do niego, myśląc o tym, co będą dzielić w przyszłości.

– Kiedy nasze dzieci będą wystarczająco duże... – dodała.

– Zabierzemy je tam. – W głosie Jake'a brzmiało wzruszenie. – A na razie...

– Jest to wspaniałe miejsce, gdzie możemy być razem.

Później przyjdzie czas na wyjaśnianie, jak bardzo Annie będzie się starać, aby nigdy nie wykorzystać tej wolności, jaką jej dał razem ze swoim nazwiskiem i sercem.

Później przyjdzie czas na zapewnienie go, jak bardzo będzie cenić mały pierścionek symbolizujący kacze ziele oraz przedziwną mieszankę ulic miasta i kryjówek na bagnach, jaka złoży się na ich życie.

Teraz kończyły się dwie godziny, darowane im przez Stephena Morela.

– Kochaj się ze mną teraz – szepnęła miękko, obejmując go za szyję. – Chcę być całkowicie twoja, kiedy będziemy dziś w nocy wracać razem do Nowego Orleanu.